

# W DRODZE

DWUTYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI

Nr. 5 (23)

Jerozolima, 1 marca 1944 r.

Rok II

MICHAŁ JONO

## KRESY FRANCJI

Tradycje francusko-polskiej wspólnoty interesów politycznych i kulturalnych przetrwały ogniową próbę dziejów. I — powiedzmy sobie otwarcie — próbę niekonsekwencji, załamania i zrywów linii politycznej, od Napoleona począwszy, poprzez „l'ordre règne à Varsovie”, aż do tajnych układów z r. 1915, które sprawę Polską usiłowały przehandlować Rosji w zamian za iluzoryczne korzyści w Europie zachodniej. Momenty oderwania linii politycznej Francji i Polski wywołanej — nieszczęsna deruta Francji wobec polskiej inicjatywy wojny przewencyjnej w r. 1933, Monachium i Vichy jako kolejne etapy tego samego procesu — to dalsze, banalne już, dowody, że każda próba zaprzeczenia tej wspólnoty interesów to zarodek nowej porażki europejskiej. Dziś znów nas łączy wspólnota wroga i walki. Powinna łączyć, choć zbyt często jeszcze dochodzą nas ze strony Francji echa Monachium à rebours. Nie mniej jednak zbyt silna jest tradycja wspólnoty, by każdy problem francuski nie znajdował silnego echa w środowiskach polskich.

Jednym z tych problemów jest zbyt dobre i zbyt długo nam znana i gorzka sprawa zjednoczenia. Francja — ojczyzna wolności — była też ojczyzną z wyboru krajów języka francuskiego. Alzacja i Lotaryngia, jej Kresy Wschodnie, dostały się Francji nie drogą unii dobrowolnej, lecz drogą podboju. A jednak zjednoczenie dokonało się z woli własnej Lotaryngii, z woli ludu alzackiego, który, niemiecki z języka, częściowo niemiecki ze swego wyznania luterńskiego, francuskim stał się z kultury i poczucia jedności z Francją. Tak jak Południe ze swym dzwicznym langue d'oc, jak włoska z języka Korsyka i Nicea, jak celtycka Bretonia. Nie darmo w bohaterskim Strassburgu rozbrzmiał po raz pierwszy Hymn Wolnych Francuzów — w chwili gdy to miasto, z języka niemieckie, zamykało najazdowi niemieckiemu drogę do Francji. Nie darmo w cieniu katedry strassburskiej, wśród winnic Ruffachu, w starych domach Kolmaru rodziła się i rosła wielcy wodzowie rewolucji francuskiej i epopei napoleońskiej — Kleberowie, Lefebwrowie, Rappowie i tyłu innych żołnierzy Republiki o nazwiskach, obojętnych wybrzeżem Sekwany. Korsyka dała Francji największego w jej dziejach wojownika, Bretania stanęła na straży mórz Francji i jej odległych posiadłości kolonialnych. Rzutkie Południe dało Paryżowi swych finansistów, przemysłowców, narzuciło mu swą finezyjną politykę, myśl francuską prześwieciło trzeźwym optymizmem Montaigne'a. Francja była swym Kresom natchnieniem, Kresy — jej źródłem sił żywotnych. Dla Korsykanina Francja to „kontynent”, ład par excellence. Alzatek nazwała Francję „l'intérieur” — wnętrzem. Obaj kochają swą ziemię właśnie jako Kresy Francji, swój język i swą kulturę regionalną jako element wielkiej wspólnoty francuskiej. Nie da się oddzielić historii Kresów Francji od historii Francji — były i są one jednością.

Na szczęście dla Francji, odkąd Francja się stała, nie danym jej było znać wielkiej goryczy rozbiorów. Nikt nie zaprzeczał jej prawa do Kresów obcojęzycznych dlatego, że były obcojęzyczne. W r. 1871 dyplomacja niemiecka ubierała zabór Alzacji i Lotaryngii w formuły praw dynastycznych. O języku i narodowości mówić nie śmiała. Bo właśnie te obcojęzyczne Kresy — semper fidelis Strassburg, Metz — stawiały nawale zjednoczonego imperializmu niemieckiego opór równie zacięty, co bohaterski Paryż.

I oporu tego nie zaprzestali nigdy. Trzecia część ludności krajów zabranych wyrzeka się domu własnego, by nie stracić ojczyzny. Ci ludzie z Kresów, to przez długie lata kręgosłup politycznej jedności Francji. Ich oczyma patrzy Paryż ku błękitnej linii Wogeżów. A po tamtej stronie granicy dwie prowincje żyją sercem w „l'intérieur” — we Francji. Mylnie byłoby przekonanie, że irredentyzm alzacki to odpowiedź na ucisk, na prześladowania. Prawda jest daleko piękniejsza. Niemcy zrobili bardzo dużo, by Alzatek pozyskać dla siebie, by poprzez wspólny język i wyznanie dotrzeć do ich uczucia narodowego. Alzatek trzymał się krzepko swej ziemi, urastał w siłę gospodarczą, konkurencją swego intelektu i techniki dawał Niemcy zachodnie, ale w armii niemieckiej mniej było poruczników alzackich, niż w armii francuskiej alzackich generałów,

w gimnazjach niemieckich mniej nauczycieli alzackich niż alzackich profesorów na uniwersytetach francuskich. Niemiecki z języka Alzatek za punkt honoru stawiał sobie mówić na ulicy tylko po francusku. Alzacja nigdy nie była bardziej francuska, niż pod zaborem niemieckim.

Ani we Francji, ani w Anglii, ani nawet w Niemczech nikt nie myślał o możliwości jakichś rokowań czy arbitrażów, podziałów czy plebiscytów, kiedy w listopadzie 1918 r. wojska francuskie wkraczały do Strassburga, witane niemieckimi okrzykami na cześć Francji. „Plebiscyt już dokonany” — oświadczył prezydent Strassburga i nikt nie ośmielił się mu zaprzeczyć.

Czy plebiscyt ten wypadłby inaczej po roku 1933? Jeśli Alzatek dokonali wszystkiego, by zostać Francuzami, to Francuzi zrobili bardzo dużo, by Alzatekom wmówić, że są Niemcami nie tylko z języka. Przez lat 47 Alzacja i Lotaryngia wrosły w organizm gospodarczy Niemiec, w tym właśnie okresie osiągały dojrzałość i jednolitość. Przemysł włókienniczy Francji Południowej, hut i walcownic Północy odczuły przyłączenie Alzacji i Lotaryngii przede wszystkim jako wzmoczenie konkurencji. Antagonizm ten, dzięki naciskowi finansjery paryskiej i lyońskiej na aparat władzy centralnej, zbyt często był rozstrzygany na niekorzyść Kresów. Fatalność położenia strategicznego od roku 1936 spowodowała wstrzymanie inwestycji przemysłowych na Kresach Wschodnich, dążność do traktowania ich jako obszaru surowcowego, zaopatrującego przemysł przetwórczy wnętrza. Jak wszystkie kresy krajów, nastawionych defensywnie wobec zaborczego sąsiada, i Kresy francuskie musiały ponosić ofiary materialne na rzecz bezpieczeństwa całości. Rozumiał to Alzatek i rozumiała Europa i nikt nie wysnuwał z tego wniosku o konieczności oderwania Alzacji lub międzynarodowej nad nią opieki, bo rzeczą było oczywiste, że za takim wnioskiem kryłaby się propaganda niemiecka. Europa wiedziała jeszcze więcej. Wiedziała, że Francja kładła w swe Kresy ogrom wysiłku twórczego, że w ciągu lat 1918—1936 dała Alzacji takie wspaniałe dzieła, jak nowy port strassburski i regulację Renu, rozbudowę sieci drogowej i modernizację miast, jak szereg miast ogrodów i nowych dzielnic mieszkalnych robotników, wspaniały rozwój szpitalnictwa i instytucji opiekuńczych. Wiedzano, że bez gromkich fanfar różnych „planów czteroletnich” i wielkich gestów ideologicznych Francja dawała swym Kresom nowe podstawy wspólnoty materialnej, silną bazę społeczną. Musiano o tym wiedzieć, bo Francja i jej Kresy zbyt były bliskie, osiągnięcia zbyt rzucały się w oczy, by można było ukryć je za dymną zastoną wrogiej propagandy.

Niewątpliwie, Francja w swej polityce kresowej nieraz szła błędnymi torami. W pierwszych zwiastach lat 30 po roku 1918 administracja państwowa spoczywała tam przeważnie w rękach ludzi z prowincji centralnych, nie znających Alzacji, miążkich biurokratów, którzy

upojeni zwycięstwem, chcieli być panami zdobywcy, a nie sługami ziemi odzyskanej i zamiast naginać się do właściwych jej form życia społecznego i prawnego, starali się je wtłoczyć w bezduszne ramy układów centralistycznych. Dla tych ludzi Alzatek—Francuz z uczucia i woli, ale mówiący dialektem niemieckim, był poprostu pogardzanym „boszem”. W siusznym dążeniu do kulturywania „Muttersprache” widzieli bunt przeciw kulturze francuskiej, zapominając, że właśnie poprzez ten dialekt miejscowy przynają potężny prąd patriotyzmu francuskiego. Zasłużone Ludowe Zjednoczenie Republikańsko-Narodowe, grupujące większość Alzatek, okrzykli spiskiem antypaństwowym za żądanie poszanowania praw kościoła alzackiego, za żądanie utrzymania pozytywnej części dorobku lat niewoli — ubezpieczeń społecznych, których Francja nie posiadała, kodeksów, bardziej nowoczesnych niż kodeks Napoleona. Nie rozumieli, że w tym regionalizmie jest najlepsza gwarancja jedności.

Ale błędów — poważnych błędów — administracji francuskiej nikt nie uważał za sprawę międzynarodową, lecz poprostu za sprawę wewnętrzną między obywatelami Republiki, za bół zrastania się jej terytoriów. Alzacja zbyt bliska była Europie, by można było nie widzieć, ile jej dała ta sama administracja francuska. Wiedzano dobrze, że właśnie ta administracja francuska uczyniła Strassburg, przez lat 47 prowincjonalne miasto Reichu, ośrodkiem kulturalnym o znaczeniu międzynarodowym. Uniwersytet strassburski miał w roku 1913 zaledwie 1959 studentów, z czego 9% obcych; w roku 1932 na 3.255 studentów było 30% z zagranicy. Strassburski ośrodek studiów naftowych, instytut fizyki kuli ziemskiej, seminarium religioznawcze cieszyły się sławą światową. Podnosił się poziom kultury powszechnej; w ciągu pierwszych dwunastu lat powojennych liczba uczniów szkół średnich wzrosła o 85%. Alzatek wzięli wybitny, nieproporcjonalnie wysoki udział twórczy w nauce, polityce, administracji francuskiej nie tylko w Alzacji, ale i w samej Francji.

O tym Europa wiedziała. I dlatego właściwą miarą oceniała „autonmistyczne” hasła Landespartei. Wiedziała, że jej twórcy, Paweł Schall i Karol Roos, to marionetki poruszane z Berlina przez Roberta Ernsta, komendanta alzacko-lotaryńskiego odcinka podstępnej a wszechogarniającej pracy Związku dla Niemczyzny Zagranicą. Poprzez swe ekspozytury na terenie Alzacji ta centrala dywersji politycznej kierowała dobrze opłacanymi „ruchami” — korsykańskim, flamandzkim, bretońskim i alzackim i ich organizacją centralną, założoną w r. 1927 Komitetem Mniejszości Narodowych we Francji. Wiedzano o tym i dlatego właściwą miarą oceniano lamente Niemiec przedhitlerowskich, iż „wielka idea wolnego samookreślenia (narodowego) haniebnie została podeptana...” w Wersalu. Dlatego też z pogardą czytano w dziesięć lat później: „Nie będę mówił o zbrodniach, doko-

W numerze:

T. Felsztyn: Eksport broni. — M. Górecki: Chemintern. Spojrzenie w przyszłość. — Z prasy obcej. — J. Mackiewicz: O zaburzeniach pamięci wśród naszego uchodźstwa. — A. Lewak: Mazzini i emigracja polska. — L. Błotnicka: Fragment wycieczki. — W. Weintraub: Poezja patosu historii. — J. Kejlin: „W parterowym domku przy cichej ulicy”. — Fakty i Komentarze: Zamknięcie „Wiadomości Polskich”. Kandydaci. Nieznana mowa Hitlera. Klasztor na Monte Cassino. — Zły humor Moskwy. ww.: Przegląd polityczny.

nanych na mężczyznach, o dzieciach, płaczących u drzwi szkół, z których je wypędzono za to, że mówili językiem matki, o staruszkach, niezdolnych do uzyskania sprawiedliwości w swym własnym kraju, swym własnym języku...” Słowa te mówiły o Francji, a autorem ich był... Goebbels. Ale ten sam Goebbels przecież — z brutalną uczciwością zwycięskiego bandyty — mówił światu otwarcie: „Nigdyśmy nie taili, że posługiwaliśmy się instytucjami demokratycznymi poto, by zagarnąć władzę celem ich zburzenia”. Świat o tym wiedział i dlatego na „ruchy niepodległościowe” korsykańskie, bretońskie, alzackie nie dawała się nabrać ani Europa, ani we Francji Korsykanie, Bretończycy, ni Alzatek. Nie dawał się nabrać nikt z wyjątkiem samych Niemców.

Odosobnieni od świata, z mózgami, zakutymi w kategorie rasistowskiej dialektyki „Mein Kampf”, ogłuszeni wrzaskiem hasał wszechniemieckich, Niemcy stali się we Francji ofiarami własnej propagandy. Szli pewni siebie, by podać rękę pomocną do wyzwolenia łaknącym jedności z Reichem odtanom wielkiego ludu niemieckiego i dążącym do niepodległości uciemiężonym narodom. Pewność ta przysła, rozbiłszy się o mury Strassburga, Milhuzy i Kolmaru. W głębi Francji nieraz spotykali się z gorliwą służalczą moralnie przeartych sfer kierowniczych, gdzie niegdzie — z niewolniczą obojętnością zdradzonego ludu. Kresy Francji spotkały ich ponurym młeczeniem zabój narodowej i buntu. Włoska z języka Korsyka zahuczała strzałami zdradliwego machia, któremu zawtórował maquis-sabaudski. Na ofertę niepodległości Bretonii zacięci Celtowie odpowiadali twardą pięścią chłopską w zębra zaprzędanych „patriotów”. Alzacja w dzień 14 lipca huczała Marsylianką na przemian z niemieckimi wiewatami na cześć Ojczyzny Francuskiej. Linia bojowego frontu kresów wschodnich szła nawet przez Stalag i Offlagi niemieckie, gdzie Bretończycy, Korsykanie, Alzatek jednogłośnie odmawiali ofiarowywania im wolności, skąd woleli jechać do brudu i głodu obozów niemieckich w Polsce, lub na pewną śmierć w sferze frontu wschodniego, na robotach przymusowych, niż zrzec się zaszczytnego imienia Francuza.

Jak głosi fama, nazajutrz po wkroczeniu wojsk niemieckich do Milhuzy, zajaśniał na jej murach plakat: „Nie chcecie nas kochać. Nauczmy was bać się”. To było jedyne, co Niemcom pozostawało — przemoc. Język francuski proskrybowano z ulic, ze szkół, z kościołów alzackich. Nawet na cmentarzach wyskrobywano z nagrobków imiona francuskie. Noszenie beretu uznano za demonstrację profrancuską. Słynny klasztor św. Otylii oddano na kwaterę Hitlerjugend. 300.000 mieszkańców Alzacji i Lotaryngii uszło lub zostało deportowanych do Francji, tracąc domy, majątek, rodziny. Żydów alzackich, zaciętych patriotów Francji, pognano do obozów śmierci w Polsce. W obozach koncentracyjnych spotykali się księża lotaryńscy, pastorkowie alzaccy, rabini z Metz i Strassburga. 140.000 młodzieży wcielono do Wehrmachtu w r. 1942 i kazano jej umierać za wroga sprawę. Na granicy Szwajcarii grzmiały salwy egzekucyjne, zmiatające „dezertorów” cywilnych i wojskowych.

Kresy Francji zostały zdławione. Już w r. 1941 Hitler mógłby zarządzić w Alzacji i Lotaryngii plebiscyt, który dałby co najmniej 99% głosujących. Ale Hitler się na to nie odważył. Świat wiedział, że choć Hitler odrazu w roku 1940 sprawę Alzacji i Lotaryngii uznał za nie podlegającą dyskusji sprawę wewnętrzną Rzeszy, Kresy Francji nie poddają się. Nie poddają, choć zdradzone przez własny rząd, choć Darlan w swej słynnej mowie w Uriage z lekkim sercem ich zabór sankcjonował, choć sprytniejszy od niego Laval za zgodą Niemiec jeszcze w r. 1942 parodiował mrzonki Reimera o „Frankonii Zachodniej”, gorąco aprobując plany jakiegoś państewka alzacko-lotaryńskiego. Tej pokornej rezygnacji z Kresów nie uznała ani Francja, ani też mocarstwa Sprzymierzone, uznające natomiast prawo każdego Francuza do walki o ich zjednoczenie z wyzwoloną ojczyzną. Francja sprawę swych kresów wygrała. Alzacji i Lotaryngii nie ma nikt potrzeby Francji przyrzekać, bo każdy wie, że są one tej Francji członkami.

### NOWOŚĆ

NAKLADEM WYDAWNICTWA W „DRODZE” UKAŻE SIĘ W NAJBLIŻSZYM CZASIE KSIĄŻKA ZBIOROWA, OPRACOWANA STARANIEM POLSKIEGO P. E. N. KLUBU W LONDYNIE

P. T.

## WIELKA BRYTANIA KRAJ-USTRÓJ-LUDZIE

WSPÓLAUTORZY:

S. Baliński, M. Chmielewska, H. Gotlib, W. Grabińska, Z. Grabowski, Z. Hołub-Paciewiczowa, H. Judd, J. Kuncewicz, M. Kuncewiczowa, J. Leo McGovern, W. Paton, W. Power, C. Poznański, M. Prozor, H. Tenenbaum, T. Terlecki.

Cena 300 milsów.



TADEUSZ FELSZTYN

# E K S P O R T      B R O N I <sup>1)</sup>

Uwagi Redakcji, umieszczone na koncu mego listu w numerze 13 „W Drodze”, skłoniły mnie do szerszego omówienia sprawy eksportu broni. Nie chodzi mi tu bynajmniej o to, by „mieć rację”, ale o rzecz ważniejszą — o oczyszczenie tego zagadnienia, tak ważnego dla przyszłego rozwoju naszego przemysłu wojennego, od wyłącznego wpływu czynnika emocjonalnego i o zwrócenie uwagi na te strony zagadnienia, które szerszemu ogółowi są nieznane.

## I

Beznamiętny, rzeczowy stosunek badacza do sprawy jest w zagadnieniu eksportu broni niezmiernie trudny, czynnik emocjonalny gra bowiem bardzo dużą rolę.

Przecież argument, „nie mieliśmy broni sami w ilości dostatecznej, a sprzedawaliśmy ją zagranicę”, jest argumentem czysto emocjonalnym.

Ale są i inne czynniki uczuciowe, które grają rolę przy zagadnieniu eksportu broni. Żołnierz, do którego nieprzyjaciół strzela z broni, dostarczanej mu przed wojną przez fabrykę własnego kraju, napewno będzie miał pretensję do tej fabryki, że „uzbroiła wroga”. Nawiasem mówiąc, w Polsce sytuacja taka nie miała miejsca, ale np. w Niemczech była ona dość powszechna. Przed r. 1914 Niemcy bowiem dostarczali broni zarówno Rosji, jak i Anglii, pomimo iż dobrze wiedzieli, że z państwami tymi przyjdzie im walczyć. Podobnie zresztą postępowali oni i przed r. 1939, proponując nam np. kupno broni p-pancernej, lub też dostarczając w wielkich ilościach — częściowo w zamian za tranzyt do Prus Wschodnich — maszyn i urządzeń dla naszych fabryk przemysłu wojennego. Przyczyną takiego postępowania wyjaśnia znany niemiecki teoretyk, Justrov. Omawiając postępowanie firmy Kruppa, dostarczającej Anglii przed r. 1914 płyt pancernych dla pancerników, z którymi potem musiała walczyć flota niemiecka, pisze on: przecież, gdybyśmy nie byli dostarczyli tych płyt, to byłby je wykonał ktoś inny, i pancerniki byłyby tak czy inaczej gotowe. Dzięki temu zaś, że Niemcy dostarczyli tych płyt, to: 1) wiedzieli oni dobrze, jakie nieprzyjaciół ma płyty, mogły więc zastosować odpowiednie środki dla walki z nimi; 2) w czasie prób uzyskali oni cały szereg cennych informacji technicznych, ważnych dla rozwoju własnych środków bojowych; 3) wreszcie, za pieniądze angielskie rozbudowywali własny przemysł wojenny.

Jest i trzecia przyczyna, dlaczego eksport broni cieszył się na całym świecie dość złą opinią: handel bronią stanowił jedną z ciemniejszych stron historii kapitalizmu i postaci takie, jak Zacharoff, zapisały się smutną pamięcią w historii.

Zwołana z inicjatywy Prez. Roosevelta Komisja Śledcza Senatu Amerykańskiego wydała około 1937 r. kilkanaście tomów materiałów, które zawierają istotnie wiele wiadomości wręcz rewelacyjnych. Dowiedzieliśmy się z nich np., że wojna paragwajsko-boliwijska nie rozstrzygała się na terenach Gran Chacho, ale w zacisznych gabinetach międzynarodowego związku eksporterów broni, że np. francuska firma Schneider za dostarczaną Polsce bronią płaciła odszkodowanie... niemieckiej firmie Krupp, gdyż — w myśl układu — teren Polski był zastrzeżony dla firmy Krupp. Dowiedzieliśmy się również, że firma francuska Schneider (człowiek członkiem Comité des Forges, który trząsł polityką Francji) i związana z nią czeska Skoda finansowały przed r. 1933... ruch hitlerowski w Niemczech.

Zapewne w materiałach tych jest nieco przesady i wiele momentów, obliczonych na rynek wewnętrzny, dla zwalczania niedogodnych polityków. I tak np. jednemu z wybitnych przemysłowców, czołowemu przeciwnikowi New Deal'u Roosevelta, zarzuka Komisja, że w r. 1917 użył swych dużych wpływów politycznych dla wciągnięcia Stanów Zjednoczonych w wojnę przeciwko Niemcom, i dodaje: „Istotnie zarobiłem na tym, ale jako Amerykanin jestem dumny, że byłem jednym z tych, którzy namówili mój naród do walki z niemieckim barbarzyństwem”.

Ale pomimo tej przesady materiały opublikowane przez ową Komisję Śledczą, zawierają wiele faktów, skandalicznych i odsłaniających jaskrawo wpływy „handlarzy broni”, na politykę poszczególnych narodów.

Ażby jednak być sprawiedliwym i właściwie oceniać rzeczywistość, należy podkreślić, że wszystko to odnosi się do prywatnego przemysłu wojennego i prywatnego eksportu broni, z którym Polska — poza bardzo nielicznymi i również nie najświetniejszymi wyjątkami — nie miała nieomal do czynienia, jeśli chodzi o eksport broni.

Zrozumiałym jest więc, że w tych warunkach powstała silna reakcja przeciwko przy-

watnej produkcji broni, i że odpowiednia komisja Ligi Narodów uchwaliła rezolucję, wzywającą wszystkie państwa do przejęcia tak wszystkich wytwórni przemysłu wojennego, jak zwłaszcza całego eksportu broni na poczet państwa. Rezolucja ta, niestety, nie została wprowadzona w życie (Francja np. upaństwowiła swój przemysł wojenny nieomal że przed samą wojną, co zresztą nie wyszło jej na dobre, gdyż nieunikniona chwilowa dezorganizacja zła się odbiła na jej przygotowaniach wojennych). Zawdzięczać to należy z jednej strony politycznym wpływom pewnej grupy przemysłowców, z drugiej zaś ultrapacyfistycznej propagandzie, która zażądała w ogóle zniesienia przemysłu wojennego, oczywiście w interesie i za poduszczeniem Niemców, którzy wtedy właśnie zbroili się na potęgę.

Jeżeli tak szeroko rozpisałem się o tym, to dlatego ażeby wyjaśnić, skąd bierze się ową niechęć do eksportu broni, a ponadto ażeby zaznaczyć, że sytuacja nie wyglądała bynajmniej tak, jakby każda fabryka broni otoczona była gromadą klientów, którzy wydzielali sobie tę broni z rąk. Wprost przeciwnie, przed wojną domową w Hiszpanii, konkurencja na rynku eksportu broni była bardzo zaciekle i Polska musiała z trudem wyrąbać sobie swoje drogi eksportowe, mając jako jedyny argument wiedzę swych inżynierów i wysoki poziom techniczny swych wyrobów. Dopiero z chwilą bezkrawawej kapitulacji Czechosłowacji położenie się całkowicie zmieniło.

## II

Gdzie leżało źródło tej zacieklej walki konkurencyjnej wszystkich państw, produkujących broni?

Odpowiedź prosta: otóż przemysł wojenny — jak mówi sama nazwa — pracuje nie dla pokoju, ale dla wojny. W r. 1918 stosunek wojennej produkcji środków walki do pokojowej wynosił w przybliżeniu 1 : 30. W r. 1937 jeden z teoretyków niemieckich obliczał go już na przyszłość na 1 : 60, a przy dzisiejszej olbrzymiej produkcji St. Zjednoczonych i Anglii wydaje się, że i ta ostatnia cyfra była zbyt skromna. Skutkiem tego więc przemysł wojenny — bez względu na to, czy prywatny, czy państwowy — musi być rozbudowany znacznie szerzej, niż to odpowiada potrzebom pokoju.

Każde bowiem państwo, które nie chce polegać wyłącznie na imporcie broni — a to czyni je zupełnie niesamodzielnym na wypadek wojny — musi rozbudować swój przemysł znacznie szerzej, niż możność jego zatrudnienia w czasie pokoju. Co prawda wiemy dobrze, że z chwilą wojny cały przemysł danego państwa przemienia się w tej czy innej formie w przemysł wojenny. Wydawałoby się więc, że wystarczy mieć tylko tyle przemysłu wojennego, ile potrzeba na cele produkcji pokojowej, a resztę przerzucić na zmobilizowany dla celów wojny przemysł pokojowy.

Polityka taka byłaby jednak całkowicie błędna. Przemysł wojenny musi bowiem dostarczyć ściśle opracowanych metod fabrykacyjnych, narzędzi i sprawdzianów dla tak potężnej zwiolokrotnionej produkcji, a wreszcie licznych zastępów specjalistów, którzy będą służyć jako instruktorzy i kierownicy zmobilizowanych fabryk cywilnych. A wreszcie — i to jest jedno z zadań ważniejszych — na barki jego spada zadanie produkcji wielkich ilości sprzętu wojennego w owym okresie przejściowym, zanim przemysł cywilny przestawi się na przemysł wojenny. A to wymaga w najlepszym razie pół do półtora roku czasu.

Zapasy wojenne — nawet największe — luki tej nie wypełnią, a nie wolno dopuścić do tego, by powstała niebezpieczna przerwa w produkcji wojennej. Do czego prowadzić może niedostateczne rozwinięcie w czasie pokoju warsztatów produkcji wojennej, widać najlepiej na przykładzie Anglii i Francji, które przystąpiły do decydującej rozgrywki w maju 1940 r. zupełnie niedostatecznie uzbrojone, pomimo iż bohaterka walka Polski w r. 1939 dała im 7 miesięcy cennego czasu.

W tych warunkach ściśły przemysł wojenny musi być w czasie pokoju rozbudowany znacznie ponad możność jego zatrudnienia w tym czasie. To też przed każdym państwem staje poważny problem: czym i jak przemysł ten zatrudnić.

I tu zachodzi nowa trudność. Są takie typy uzbrojenia, które nie starzeją się i 20 lat. I tak np. francuska armata polowa z r. 1897 dziś jeszcze jest typem ostatecznie możliwym. Ale taki samolot czy czołg, czy też armata przeciwpancerna za 5 lat są już zupełnie przestarzałe.

To też polityka każdego państwa wahać się będzie zawsze pomiędzy dwiema wątpliwościami: czy produkować zapasy, które szybko mogą się okazać tylko niezmiernie kosztownym szmelcem, czy też raczej uprawiać politykę prototypów, ryzykując, że chwila wybuchu wojny zastanie nas z zupełnie niedostateczną ilością broni. Pod tym względem państwo napastnicze ma przewagę, ono bowiem określa moment wybuchu wojny. W państwie, nastrojonym pokojowo, trudno chwilę tę określić. Co prawda w r. 1933 dalekowzroczna polityka zagraniczna Polski przewidywała nie-

bezpieczeństwo wojny i proponowała uprzędzić je wojną prowencyjną. Ale — skoro proponowała to — nie znalazła zrozumienia — to ktoż wtedy mógł być prorokiem i przewidzieć, że wojna wybuchnie w 1939 r., a nie np. w 1943?

Ale nawet gdyby zdecydować się w pewnym momencie na politykę zapasów wojennych — a Polska od r. 1936 poszła bardzo zdecydowanie na tę drogę — to i tak zdolność produkcyjna przemysłu wojennego zawsze będzie wielokrotnie większa niż możliwości ekonomiczna jej wykorzystania przez państwo. Przecież do chwili wybuchu wojny żadne państwo nie może się zdecydować na przejście na gospodarkę wojenną i na poświęcenie całego dochodu narodowego na rzecz produkcji wojennej. Zdecydować się na to może tylko ten, kto wie napewno, kiedy wojna wybuchnie. Ten, kto oczekuje ciosu, ryzykuje, że zbyt długo przeciągająca się gospodarka wojenna zrujnuje go całkowicie do tego stopnia, iż w chwili gdy wojna istotnie wybuchnie, będzie on już zupełnie pozbawiony wszelkich sił i środków gospodarczych dla jej prowadzenia.

W tych więc warunkach każdy przemysł wojenny — nawet w okresie najsilniejszych zbrojeń — musi utrzymywać beczynnie stojące warsztaty i maszyny, niezatrudnionych przy produkcji majstrów, inżynierów i robotników wykwalifikowanych, znacznie silniejsze nasilenie wysoko wykwalifikowanym personelem warsztatów i biur studiów, niż tego istotnie potrzeba, musi modernizować urządzenia, które w ogóle może nie pracowały, jednym słowem, ponosić musi wysokie koszty pogotowia wojennego. Jasnym jest więc, że szukać musi środków, jak kosztować te pomniejszyć.

Próbowano niejednokrotnie tę część kosztów zredukować przez zatrudnienie części fabryk przemysłu wojennego produkcją cywilną. Ale z jednej strony stwarza to szkodliwą konkurencję dla fabryk cywilnych, a tym samym obniża potencjał gospodarczy państwa, z drugiej zaś mija się z celem, gdyż odciąga fachowców od produkcji wojennej, a więc zmniejsza potrzebne na czas wojny kadry specjalistów.

W tych warunkach eksport broni i amunicji przerzuca część kosztów przestojowych na zagranicę, dzięki czemu — choć na pierwszy rzut oka wydaje się to paradoksem — im więcej sprzętu wojennego się eksportuje, tym więcej można tego sprzętu wyprodukować dla siebie w ramach zawsze zbyt skąpych możliwości finansowych państwa w czasie pokoju.

Ażby ten paradoks lepiej zrozumieć, należy podkreślić, że rozbudowa COP-u miała na widoku bynajmniej nie potrzeby pokojowe, ale potrzeby wojenne. Ażby produkować ten sprzęt, na jaki nas było gospodarczo stać przed r. 1939, wystarczał w zupełności — z wyjątkiem może niektórych tylko niższych typów — ten przemysł wojenny, jaki już mieliśmy. Jednak — co dziś już nie jest tajemnicą, — przemysł ten, wraz z całym pomocniczym przemysłem cywilnym, jaki był w stanie uruchomić, ledwo wystarczał na to, by pokryć 30% naszego zapotrzebowania wojennego na amunicję, i to według norm, które w porównaniu do zapotrzebowania amunicji w dzisiejszej bitwie wydają się nam dalece małe. Można zarzucić, — i zarzuty te słyszałem, — że wobec tego błądem było budowanie COP-u. Ale, pomijając to, że nikt nie mógł w r. 1937 przewidzieć, że wojna wybuchnie już w r. 1939, czyż nie byłoby równym błędem dopuścić do tego, aby po kilku miesiącach wojny armia nasza stanęła bez możliwości uzupełnienia amunicji i zniszczonego sprzętu wojennego? Znajdąc ówczesny stan produkcji wojennej państw zachodnich, wiemy dobrze, że braków tych nikt nie byłby nam w stanie uzupełnić. A ponadto r. 1920 nauczyliśmy nas gorzkim doświadczeniem, co to znaczy opierać swe zaopatrzenie wojenne wyłącznie o dostawy zagraniczne. Tragiczne losy Grecji w 1941 r. doświadczenie to tylko potwierdziły.

Reasumując więc, można powiedzieć, że:

1) Przemysł wojenny państwa, które poważnie myśli o wojnie, ma w czasie pokoju zdolność produkcyjną tak dużą, że pełne jego zatrudnienie przekracza możliwości finansowe państwa, nie prowadzącego gospodarki wojennej.

2) Utrzymywanie w czasie pokoju w pogotowiu dla potrzeb wojny personelu i urządzeń nie produkujących kosztuje, i to dużo.

3) Budżet, jaki państwo może w czasie pokoju obrócić na przygotowania wojenne, jest zawsze w stosunku do potrzeb bardzo ograniczony.

4) Jeżeli więc uda się przerzucić część kosztów przestojowych na obcych drogą eksportu broni, to zaoszczędzone w ten sposób kwoty budżetowe można obrócić na produkcję własnego sprzętu uzbrojenia, gdyż — jak wyżej uzasadniłem — możliwości produkcyjne fabryk pozwalają i na jedno, i na drugie.

5) W rezultacie więc, im więcej państwo w czasie pokoju eksportuje broni, tym więcej może jej wyprodukować dla siebie, przez eksport więc nie pomniejsza — jakby się na pozór wydawać mogło — ale powiększa swoje przygotowania wojenne.

## III

Poza powyższymi względami ekonomicznymi za eksportem broni przemawiają i następujące jeszcze przesłanki:

Przed wszystkim kontakt z przemysłem zagranicznym na licznych konkursach dostarcza szeregu cennych wiadomości i informacji, których zdobycie na innej drodze byłoby bardzo trudne, stanowi więc cenny bodziec dla rozwoju własnej techniki. Wysoki poziom, jaki osiągnęła polska technika wojenna (poziom, któremu na wielu polach dziś jeszcze nikt nie dorównał), należy w wielkiej mierze zawdzięczać naszej walce konkurencyjnej na rynkach eksportu broni ze znaczeniem od nas gospodarczo potężniejszym przemysłem państw zachodnich.

Ponadto należy uwzględnić, że każde państwo, zbrojąc się, stwarza sobie pewien najprawdopodobniejszy obraz przyszłej wojny i do niego dostosowuje swe uzbrojenie. Nigdy jednak nie ma gwarancji, że przewidywania te będą w pełni słuszne.

Technika wojenna rozwija się dziś bowiem niezmiernie szybko, a przewidywania skutków jej rozwoju na metody walki są zawsze tylko spekulacją umysłową, której słuszność sprawdzić można dopiero na wojnie.

W tych warunkach dobrze jest mieć w zanadru przygotowane i takie środki walki, które choć sprzeczne z dzisiejszym naszym poglądem na przyszłą wojnę, rzeczywistość — być może — zupełnie niespodzianie wysunie na czoło.

Państwa, które eksportują broni, mają pod tym względem zadanie ułatwione. Stykając się z żądaniami i wymaganiami innych, mają doskonałą sposobność, by skonfrontować przewidywania własne z przewidywaniami drugich, co umożliwiłaby bardziej krytyczne podejście do własnych poglądów, oraz daje cenne podstawy pod przygotowanie typów, które — choć w danej chwili zbędne — w czasie wojny mogą się okazać bezcenne. I tak np. w 1914 r. Francja, której przygotowania wojenne nie przewidywały artylerii ciężkiej, znalazła w swych fabrykach cenne studia i prace, które jej umożliwiły uruchomienie produkcji tych dział, gdy wojna pokazała ich niezbędność, w czasie wręcz rekordowym. Fabryki te bowiem już przed wojną produkowały ciężką artylerię na eksport.

Wreszcie, eksport broni stwarza dodatkową rezerwę sprzętu w postaci produktów, jeszcze nie wyeksportowanych zagranicznemu odbiorcy. Tak postąpili w 1914 r. np. Francuzi, których pierwszymi zapasami dział ciężkich były do dnia wybuchu wojny haubice, jakie Schneider wykonał dla Rosji.

Do motywów powyższych, w warunkach polskich, dochodzi jeszcze i względ czwarty, gospodarczy. Do czasu wielkiego „boom'u” na sprzęt wojenny zagadnienie surowców i maszyn, choć nigdy u nas nie łatwe, nie było jednak jeszcze beznadziejne. W tych czasach udawały się transakcje takie, jak np. kupno dział nadbrzeżnych we Włoszech za węgiel. Później jednak położenie się pogorszyło. Struktura gospodarcza Polski była taka, że na eksport mieliśmy tylko te produkty, których na świecie było dużo i gdzie konkurencja była znaczna, a kupować musieliśmy te, których było mniej i których eksporterem na polskim rynku bynajmniej nie zależało. Łatwo więc powiedzieć, że lepiej było eksportować szynny lub materiał kolejowy! Narzucił bowiem, co chce eksportować, może drugiemu tylko państwu silniejsze — ekonomicznie czy politycznie. Państwo ekonomicznie słabsze — a takim była Polska — eksportuje nie to, co chce sprzedać, ale to, co od niego chcą kupić. A w latach bezpośrednio przed wojną — gdy zbrojenia nasze przybrały tak silne tempo, jedynym towarem, który można było ulokować ponad z trudem zdobyty rynek eksportowy, były nie szynny czy parowozy, ale właśnie... broń.

Przecież nawet Niemcy w czasie wojny obecnej choć — jak wiemy — w sprzeczcie im się nie przelewa, musieli Turcji za niezbędne surowce i produkty zapłacić sprzętem wojennym. I to w czasie wojny!

## IV

Analizując przeszłość nie, by ją „brzawić”, czy „odbrawiać”, ale by wysnuć wnioski na przyszłość. Otóż one:

Po wojnie, jeżeli Polska ma odegrać w Europie rolę, która odpowiada naszym ambicjom, naszym tradycjom i naszej postawie w tej wojnie, a która ponadto jedynie gwarantuje nam pełną niepodległość — nie wolno nam przy odbudowie gospodarczej zapomnieć i o odbudowie naszego przemysłu wojennego.

Pierwsze lata po wojnie nasz odrodzony przemysł wojenny będzie musiał poświęcić leżeniu ran i odtwarzaniu tak, niestety, pomniejszonej kadry specjalistów. Ale gdy staniami na nogach, to — dla powiększenia naszego potencjału obronnego i dla stworzenia mocnych podstaw naszego pogotowia wojennego — trzeba będzie znów myśleć o eksporcie broni. Zadanie będzie trudniejsze, niż przed r. 1939, konkurencja znacznie większa. Wtedy więc kontakty, jakie nawiązaliśmy przed wojną, i opinia, jaką zdobyliśmy, będą w ciężkiej tej walce konkurencyjnej cennym dla nas sprzymierzeńcem.

<sup>1)</sup> Artykuł dra Felsztyna drukujemy jako dyskusyjny. (Red.).



MARIAN GÓRECKI

# C H E M I N T E R N

## Alchemia dnia jutrzejszego

Ogledaj alchemia była zabawą królów i sztuką czarnoksiężników. W życiu narodów nie stanowiła ważnego elementu, choć mistrzowie magii, — często kapłani niektórych wyznań, — posługiwali się nią nieraz, by sugerować tłumom własne tendencje, by wprowadzić je w fanatyzm, by zaprzęgać je w służbę celów, znanych tylko wtajemniczonym.

Jeszcze wczoraj, — jeszcze wtedy gdy Marx wskazywał drogę do lepszego rozdziału dóbr i widział dostęp do tej drogi tylko przez walkę klas, — chemia nie była poważnym środkiem do pomnożenia tych dóbr.

Dopiero w ostatnich dziesięcioleciach wiedza chemiczna staje się coraz bardziej potężną bronią do łamania monopolów, wynikających z mniej lub więcej przypadkowego stanu posiadania, oraz do łamania granic, jakie przyroda stawia na drodze do dobrobytu ludzi, nie umiejących przedtem poznać tajemnic przyrody.

Mikrofizyka wprowadziła nas dziś w obręb takiego obserwowania i poznawania zjawisk, że prawa i hipotezy fizyki i chemii coraz bardziej łączą się w jedną całość. Chociaż zaś dotąd nie wytworzono ani drobiny syntetycznego białka, to jednak praktycznie istnieją produkty zastępcze, dość doskonałe, aby nas zbliżyć do powiązania chemii organicznej z biologią. Kiedy więc wielki biolog współczesny Carrel na parę lat przed wojną nadał swej głośnej pracy tytuł „Człowiek - istota nieznaną”, to w tym tytule zawarte jest wprawdzie podkreślenie, że droga, jaką musi odbyć biologia, jest jeszcze niezwykle długa, ale jednocześnie treść pracy wyraża pewność, że wiemy już dzisiaj, po jakiej drodze pójść należy, by poznać człowieka, to znaczy siebie samego.

W ten sposób humanistyka współczesna coraz bardziej zbliża się do syntetycznego użytkowania dorobku nauk przyrodniczych. Jeszcze do niedawna świat stał pod znakiem ciasnej specjalizacji technicznej, a dziś znowu obok specjalistów zaczynają wzrastać w cenę dyletanci. Ich pożyteczność zaczyna się wtedy, gdy zdolni są uzgadniać rozbieżności, powstające między specjalistami, czyli sprowadzać osiągnięcia specjalistów do wspólnego mianownika.

W tym sensie należy rozumieć niedawne oświadczenie Juliana Huxley'a, że uważa się on za „scientific humanist” i że ten epitet wybiera jako najodpowiedniejszy dla określenia typu swej działalności. Ludzie z kategorii „scientific humanist” — uczeni przyrodniczy, pracownicy laboratoriów badawczych i zakładów wytwórczych, osiągnęli dziś, po pokonaniu szczybla ubogiej specjalizacji, częstokroć taki poziom wszechstronności, że stają się coraz bardziej zdolnymi do tego, żeby wyrwać monopol sterowania życiem ludzkim z rąk prawników, bankierów, fabrykantów, polityków i socjologów starej daty.

Nie będzie to wcale bezduszna technokracja, ale będzie to właśnie neohumanizm, zdolny posługiwać się wiedzą i techniką, i dla którego człowiek w coraz mniejszym stopniu będzie istotą nieznaną. Neohumanizm opiera swą siłę na znajomości wewnętrznych i zewnętrznych warunków życia ludzkiego.

Neohumanista albo, kto woli, „scientific humanist” może być rozpoznany wśród reszty ludzi przez świadomy optymizm, za jakim głosi, że na kuli ziemskiej można osiągnąć powszechny dobrobyt nie tylko dla obecnie żyjących dwóch miliardów ludzi, i że nie ma powodu martwić się o przyszłość.

Neohumanisci rozumieją się dobrze na tym, jakie istnieją rzeczywiste możliwości, a tylko użytkownicy obecnego ładu, w obawie, że neohumanisci mogą zburzyć podstawy ich egoistycznego dobrobytu, straszą ignorantów rzekomą koniecznością obniżenia stopy życiowej po wojnie i t. d.

Wojny współczesne nie doczekają się swego faktycznego epilogu, dopóki te sprawy nie zostaną wyjaśnione i dopóki nie zostanie pokonana fałszywsza działalność międzynarodówek, służących ciemnym, egoistycznym interesom.

Neohumanisci odkrywają tajemnice alchemii obecnych eksploatatorów świata, ale nie oni ich poskromią.

Zaden żołnierz, który wróci z tej wojny, nie pogodzi się z brakiem pracy i brakiem dobrobytu, skoro wie, że dopóki był w mundurze, miał wbród wszystkiego, i że pociski, które wyrzucił w powietrze z armat i samolotów, warte były miliardy.

## Chemintern

Rozwiązanie Kominternu nie zlikwidowało innych międzynarodówek. Pozostały niezniknięte międzynarodówki kapitalistyczne i przemysłowe, które stanowią nieraz państwo w państwie, a zawsze poza państwem rozgałęziają swe arterie i gdy nabiorą siły, dążą do tego, by stanąć ponad państwami, przynajmniej ponad mniejszymi z nich. One to właśnie sprawiają, że suwerenność państwa małego, a nawet dużego i największego, staje się fikcją, korzystną tylko dla tych, co postępują w myśl zasady, że dość jest:

„...poszczuć ludy, poszczuć armie,  
wtedy się więcej złota zagarnie...”  
(Broniewski „Homo Sapiens”)

Nam tutaj nie tyle chodzi o krzywdy, jakie te międzynarodówki zadają państwom, ile bezpośrednio o ich ujemny wpływ na zmniejszenie dobrobytu ogółu ludzi.

## Spojrzenie w przyszłość

Już w czasie tamtej wojny i po niej krążyły po świecie różne wieści o tym, że front wojny nie przegradzał od siebie międzynarodowych rycerzy przemysłu i spekulantów. Głośno było o tym, że Francja w latach 1914—1916 sprowadzała przez kraje neutralne drut kolczasty z Niemiec i że, dosłownie, w rzeźni pod Verdun żołnierze niemieccy nadawali się na przeszkody wyrobu niemieckiego. Wiadomo było także, że w czasie wojny cała aliancka flota zaopatrywana była w szkła pryzmatyczne z zakładów Zeissa. Różne rzeczy opowiadano także o Kruppie. Po stronie przeciwnej także nie było lepiej. O tych sprawach obszerne rewelacje podaje Lehmann - Russbült w książce p.t. „Krwawa międzynarodówka”.

A do jakiej kategorii zaliczyć należy handel amerykańsko-japoński, który jeszcze w 1941 dostarczył Japonii 1.097.000 beczek gazo- i 8.341.000 funtów ołowiu, nie licząc innych surowców. „United Press” po Pearl Harbour dn. 8 grudnia podało te wiadomości, dodając, że bomby, jakie posypały się na Honolulu, wyrobione były z metali, przesłanych przez Stany Zjednoczone.

Szczególnie tajemnicze obroty dokonywane były w tamtej (i w tej) wojnie w gałęzi chemicznej, w której przewaga Niemców była olbrzymia. Znanie jest powiedzenie „alianci wygrali wojnę, ale IGFarbeh wygrało pokój”. Jest nawet angielska książka pod takim tytułem. Jaskrawym przejawem tego rezultatu tamtej wojny był fakt, że w 1918 r. w Paryżu na paradzie zwycięstwa wszystkie Bartki Zwycięzcy, wymachując chorągiewkami o barwach alianckich, nabyl je u kupców, którzy byli zmuszeni sprowadzić je z Niemiec.

W ciągu dwudziestolecia międzywojennego przewaga niemieckiego przemysłu chemicznego nieco się zmniejszyła, ale sięga jeszcze dotąd zachłannymi pazurami w odległe strony świata i poprzez fronty.

Przed paru tygodniami pojawiły się w codziennej prasie małe mówiące szerokiej publiczności nazwy:

IGF — Interessengemeinschaft Farben-

industrie A.G.,

ICI — Imperial Chemical Industries, Dupont Nemours Corporation (USA),

Remington Arms Company,

Cadian Industries,

The Explosive Industries Ltd. (United Kingdom),

Compania Sud Americana de Explosive (Chili),

Duperial Argentina,

Industries Quimicas Brasileiras,

Bunge and Borne (Argentina).

Jest to cząstka obszernej listy członków Cheminternu, czyli międzynarodówki chemicznej, o której sam prezes ICI, lord McGowan, oświadcza, że rozpoczęła ona zawiązywać się jeszcze przed czterdziestu laty. Jaka jest jej siła i wpływ? Lord McGowan twierdzi, że w zakładach ICI w samej Anglii pracuje dla potrzeb wojny 120.000 ludzi. Trzeba pamiętać, że wartość produkcji, przypadającej na jednego pracownika w przemyśle chemicznym, jest wielokrotnie wyższa niż w innych przemysłach, np. metalurgicznym, i ponadto pamiętać o tym, że treścią bomby lotniczej nie jest metal, lecz materiał wybuchowy lub zapalający.

A teraz: jaka jest wewnętrzna solidarność Cheminternu?

O zakulisowych sprawach międzynarodówki chemicznej nie pewnie nie dowiedzieliśmy się, gdyby przez wojnę nie została naruszona solidarność w ogóle w świecie kapitalistycznym. Nie należy wprawdzie do tych nieporozumień przywiązywać zbyt wiele nadziei. Jedne porozumienia międzynarodowe padają, inne powstają na ich grzebie. W 1939-1941 z państwowych szybowców sowieckich szła do Niemiec cysterna z cysterną ropy, a w tym czasie krwawił się robotnik polski, norweski, belgijski, francuski.

## On accuse!

Nie muszę jak Zola pisać „J'accuse”, bo oskarżenie przeciw Cheminternowi wniosł prokurator generalny Stanów Zjednoczonych. W czasie tamtej wojny powtarzano, jak przypomniałem, różne zarzuty pod adresem producentów wojennych, ale do żadnego procesu nigdzie jednak nie doszło. Obecnie mamy przynajmniej jeden, i to nie byle jaki.

Prokurator generalny oświadczył publicznie, że ICI (Imperialny Związek Przemysłu Chemicznego) i szereg innych towarzystw jest oskarżony o to, że:

„stale byli zaangażowani w konspirację i kombinację, aby ograniczyć wytwórczość i handel wyrobami chemicznymi i uzbrojeniami, więc materiałami wojennymi wewnątrz Stanów Zjednoczonych i z innymi krajami.”

oraz o to, że

„powierzali swym przedstawicielom w Ameryce łańciskiej już po wypowiedzeniu wojny dalsze współdziałanie z towarzystwami niemieckimi w Chili i Brazylii”

Nie chodzi wcale o to, jaki wymiar kary otrzymają osoby, reprezentujące oskarżone instytucje. Tutaj nam nie chodzi o głowę

żadnego z lordów, nie o głowę jakiegoś króla dynamitu, lecz o same instytucje, które z ławy oskarżonych nie mogą więcej powrócić do zbrodniczego życia.

Ten proces nie może stać się ciekawostką, zapełniającą szpalty dzienników. Nie może zmienić się w jakiś proces Stawiskiego, który rozwłókł tylko brudy, wcale nie dbając o ich wypranie. Mimo woli, skoro chodzi tu o chemię, nasuwa się banalna gra słów, że sąd musi stać się pralnią chemiczną. Ale to nie frazes.

Prokurator Francis Biddle, sam pochodzący z rodziny, która zajmuje kierownicze stanowiska w innej gałęzi ciężkiego przemysłu (General Motors Company), wziął na siebie ciężką odpowiedzialność przez publikację aktu oskarżenia. Homo sapiens mógł do końca wojny nie dowiedzieć się o tych „konspiracjach”, o tych „kombinacjach”, wymierzonych w podstawy moralne ładu, który tyle milionów ludzi obłąkał w mundury żołnierskie i skierował lub skieruje na fronty bojowe, ładu, który tyle milionów ludzi pozbawił dachu nad głową i skazał na bezdomną tułaczkę. Homo sapiens nie grzeszy niezdrową ciekawością, ani nie jest niecierpliwy. Nie pozwoli jednak robić ze siebie wariata, nie dopuści, ażeby proces, raz wszczęty, pozostał tylko jakąś taktyczną, może przedwyborczą rozgrywką.

Opinia publiczna będzie się domagać wyświełlenia sprawy aż do sedna rzeczy, zbadać nie tylko objawów, lecz także przyczyn.

## Germany's Master Plan

Dwaj nie byle jakiej kompetencji autorzy, J. Borkin i C. A. Welsh, jeden „doradca departamentu sprawiedliwości USA w sprawach przeciwko trustom” a drugi „ekspert w sprawach administracji karteli”, wydali już wśród tej wojny książkę pod powyższym tytułem, w której wyjaśniają, że Niemcy po tamtej wojnie przystąpili do odzyskania swego mocarstwowego stanowiska drogą zakonserwowania swego panowania w przemyśle chemicznym.

Niemcy, znalazłszy się w przymusowym ubóstwie w dziedzinie starych surowców, zajęły produkując miejsce na nowych drogach. W niemieckich chemicznych zakładach przemysłowych zawsze więcej inżynierów pracowało w laboratoriach badawczych, niż w kierownictwie bieżącej produkcji. Syntetyczna benzyna, kauczuk i t.d. zostają praktycznym rywalem pierwotnych surowców najpierw w Niemczech. Można by mnożyć bez liku przykłady, jak ośmieszane za swoje ersatze Niemcy wprowadzały w rzeczywistości do użytku ludzkiego coraz to więcej wartościowych nowych wytworów. Niestety, czyniły to głównie na użytek nie ludzi, lecz swej manii zdobywczej. Najważniejsze w tym są jednak nie same wynalazki, lecz organizacja ich eksploatacji. Przemysłowcy w Niemczech złączyli się integralnie z aparatem państwowym. Jeszcze przed narodowym socjalizmem i niezależnie od niego, jak słusznie stwierdza J. Borkin, charakteryzując stosunki niemieckie, nie można mówić o kapitalizmie w klasycznym tego pojęcia znaczeniu, lecz mamy tu do czynienia z „secret covenants for production”, czyli z tym, co prokurator generalny USA określił jako konspirację. W Niemczech w odróżnieniu od innych państw samo państwo było aktywnym uczestnikiem tego „secret covenant”, a każdy przemysłowiec wiedział, że państwo jest jego niezawodnym opiekunem, zaś państwo ze swej strony wiedziało, że każdy przemysłowiec służy jego interesom jak swoim własnym, co zresztą dla pewności było zabezpieczone przez ścisły nadzór nad przemysłem. Taka spółka państwa z przemysłem to właśnie istota totalizmu. Konspiracje totalistyczne jakiegokolwiek rodzaju są dla ogółu ludzi równie groźne i szkodliwe, jak konspiracje międzynarodowe innych kategorii. Mistrzostwo planu niemieckiego polegało na tym, że przy pomocy systemu patentów, karteli i umów niemiecki przemysł chemiczny, a więc — jak wykazaliśmy — jednocześnie państwo niemieckie związało ze sobą i często uzależniło od siebie przemysły chemiczne innych krajów.

Bez tych tajnych umów wszyscy ludzie na całym świecie mogliby się nasycić obfitością dóbr wszelakich. Nie należy bowiem sądzić, że plan niemiecki ograniczał się tylko do zakresu chemicznego. Jeszcze w czasie hiszpańskiej wojny domowej i w czasie Monachium wypłynęło na jaw, że Neville Chamberlain posiadał 17.600 udziałów ICI, oraz że ICI przez towarzystwo Rio Tinto było związane z niejakim dr. A. Mertonem, który był prezesem działającego w Hiszpanii „Metallgesellschaft”, w którym z kolei udziałowcami byli Krupp, Siemens i IGF. Dalsze kontakty stamtąd prowadziły do Rockefellera; jak wiadomo, IGF miało też ścisłe stosunki z Standard Oil Company w związku z produkcją syntetycznej benzyny, która mogła i może doprowadzić do ruiny producentów ropy.

Niemcy dzięki szantażom wobec eksploatatorów starych surowców doszli do scentralizowania w swym ręku niemal wszystkich patentów.

## Neohumanisci nie wystarczą

Wskazane więc zostały dwa aspekty obecnego ładu gospodarczego. Z jednej strony przeciwstawianie się międzynarodówce przemysłowych interesom ogółu konsumentów, a z drugiej strony przenikanie imperialistycznych tendencji niektórych państw wewnątrz międzynarodówek, celem znowu wykorzystania ich dla swoich egoistycznych interesów.

Zarówno przytoczone wyżej przykłady branżowe, jak przykład działalności imperializmu niemieckiego, nie są oczywiście pełnym obrazem smutnej rzeczywistości. Jeśli ktoś zakwestionuje ścisłość podanych przykładów, jeśli np. okazałoby się, że Neville Chamberlain nie posiadał 17.600 udziałów, lecz 16.700, albo że w ogóle nie posiadał udziałów ICI, lecz innego kartelu, to takie poprawki w najmniejszym stopniu nie osłabia słuszności niniejszych wywodów. Nie o to bowiem idzie, kto, wiele i jakich ma akcji, i kto przeprowadza konspiracje i kombinacje, ale o ten bezsporny fakt, że konspiracje i kombinacje są znamięm współczesnego ładu gospodarczego.

Na kuli ziemskiej jest dość zasobów. Cóż jednak robią kierownicy życia gospodarczego? Wynalazca znajduje nowe, doskonalsze sposoby produkcji, lub geolog odkrywa nowe bogate złoża surowców, lub inżynier planuje nowy system elektryfikacyjny czy nawadniający i t.d. To start. Na mecie oczekują spragnione tłumy, że oto spaść im może nowa manna. Po drodze holdingi bankowe, zawodowi speculanci i przygodni arriwiści starają się egoistycznie i marnotrawnie zużytkować dla siebie owoce wynalazku. Obok nich i wśród nich stoją nasycony użytkownicy starych wynalazków, którzy, zagrożeni w swym stanie posiadania, dożywają wszelkich sił, by spiętrzyć trudności i przeszkody na drodze zwycięskiego biegu nowego życia, na drodze „inowacji”. Holdingi, speculanci, arriwiści, kiedy uzyskają okup od starych producentów, kartelizują się z nimi. Mają na swe usługi większość polityków i prasy. Dokoła możliwej inowacji roztacza się znowa milczenie. Wynalazek grzęźnie w przeszkodach.

W niektórych państwach (Niemcy, Związek Sowiecki) państwo z urzędu wkracza, przyjmując de jure lub de facto kontrolę nad eksploatacją. Ale dzieje się to nie na użytek ogółu ludzi, lecz tylko na korzyść obywateli tego państwa, albo nawet na korzyść uprzywilejowanej grupy, dla której muszą pracować w pocie czoła stachanowcy.

W państwach t. zw. demokratycznych interwencja państwa jest ograniczona. W Stanach Zjednoczonych obowiązuje Sherman Anti-Trust Legislation, która w praktyce mniej chroni konsumenta przed trustami, niż odbiera mu opiekę państwa w stalach, za kartelami. Bardzo interesującą analizę tego stanu rzeczy zrobił ostatnio prof. Heinrich Kronstein, który do 1935 r. był wysokim urzędnikiem kartelu w Mannheim, a obecnie jest ekspertem departamentu sprawiedliwości. Stany Zjednoczone są na drodze do zmiany tego stanu przez zmianę prawa patentowego, zaś przez reorganizację Departament of States położono rękę na handel zagranicznym, upodobiłając go do systemów Wniesztorgu. Wreszcie przez zapowiedziany udział państwa w przedsiębiorstwie budowy rurociągu z Arabii Saudyjskiej stają się Stany Zjednoczone coraz bardziej przedsiębiorczą typem totalistycznym. Z tej całej ewolucji może mieć pożytek dużo ludzi, bo 130 milionów obywateli USA, ale właśnie nie przez to interesy tych 130 milionów wchodzą w konkurencję z interesami reszty dwóch miliardów ludzi. Tu rodzi się USA Master Plan. Wprawdzie USA nie jest mocarstwem zaborczym i wprawdzie po nasyceniu się tych 130 milionów można się spodziewać, że i dla reszty ludzi coś kapnie, ale doświadczenia Amgotów wskazują, jak to trudno innych uszczęśliwiać, a poza to, i to najważniejsze, homo sapiens nie chce być na niczyjej łasce.

Scientific humanist może tylko wskazać, co jest ukrywane przed użytkiem ogółu ludzi, ale, ażeby ukryte skarby wyrwać z rąk łotrów i prawidłowo rozdzielić, na to trzeba stoczyć walkę. Neohumanisci nie będą w niej przywódcami. Oni są tylko pracownikami sztabu, który ludzi może do tej walki przygotować. Kiedy się ona może rozegrać?

Obecnie świat jest zaprzęgnięty na frontach wojen międzynarodowych. Rozumiemy, że wrota do pokoju otwarte być mogą tylko kluczem zwycięstwa. Niemcy muszą być powalone. Ale oceniamy jako bardzo naiwne przypuszczenie angielskiego dziennikarza i członka Izby Gmin, Vernona Bartletta, który sądzi, że kiedy do Niemiec wkroczymy, to zastaniemy tam vacuum. Delegaci, reprezentanci, ba, kierownicy przemysłu niemieckiego czynni są wśród wojny bez przerwy w krajach neutralnych i nie neutralnych, prowadząc swe konspiracje i kombinacje. Nie vacuum zastaniemy w Niemczech, lecz napełnione retorty chemiczne, które w razie naszej ignoracji stworzą związki nowej rychłej wojny między - państwowej, a tylko w razie naszej kompetencji zużyte być mogą dla dobra ludzi. Ale na to trzeba wypełnić to vacuum ideologiczne, jakie panuje na kuli ziemskiej w obecnym stadium rozwoju kultury, gdy możliwe są takie machinacje, jakie stały się przedmiotem procesu wszczętego przez Francis Biddle'a.

Bieg wypadków znowu wynosi Polaków



na czoło ogólnowiatowego frontu walki pomiędzy masami have-nots i gromadą nasyconych haves. Nie o spór terytorialny tu idzie, nie o pacheć terenu, choć jest on Polakom drogi jak życie, lecz o to, jaki będzie świat.

Czy jesteśmy na progu tego smutnego okresu, czy zapowiada się on na długi, czy też przemienie jak zły, złowrogi kometa? Nie trzeba się ludzi, żeby procesy takie jak proces Cheminternu mogły przynieść szybką zmianę na lepsze. Nie trzeba marzyć, że neohumanizm rozkwitnie jak świętojański kwiat paproci. Potrzebny jest światu Nowy Manifest, potrzeba przez lata gromadzić siły dla jego realizacji, aby bez zawodu dostatecznymi siłami we wszystkich punktach kuli ziemskiej uderzyć naraz we wszystkich łotrów, broniących Bastylii.

Jeśli Polacy nie pojmą, że im właśnie, bo należącym do najbardziej skrzywdzonych, przypada prawo i obowiązek być tak samo jak w XIX w. albo jeszcze lepiej, nie tylko obrońcą własnych interesów, lecz także chorążym powszechnego wyzwolenia z ucisku, to w takim razie przyczynią się do spotęgowania nieszczęść, jakie ich dotykają.

Znaczenie międzynarodowe sprawy polskiej polega nie tylko i nie tyle na uczestnictwie państwa polskiego w między państwowej dyplomacji, ile na namietnej bezpośredniej wspólnocie i solidarności międzynarodowej, jaką budzi wśród wszystkich krzywdzonych krzywda, wszystko jedno czy ją wyrządza Hitler, czy Chemintern. Krzywda, która zagraża społeczeństwu polskiemu jako całości, — w innych społeczeństwach jest udziałem tylko nieuprzywilejowanych mas. Los może wtrącić cały naród polski w szeregi tych mas. Zdrowy rozum nakazuje wyprzedzić możliwy bieg wypadków.

#### Etapy pośrednie

Kiedy świat otrząśnie się z wpływów tej wojny, a sądzić trzeba, niestety, że stanie się to dopiero po upływie lat kilkunastu, wtedy nadejdzie czas wielkiej i globalnej rozprawy, ażeby każdy dostał to, co naprawdę dostać może, a czego go kłoty pozbawiają.

Zanim świat i ludzie dojrzeją do ekspropriacji ekspropriatorów, trzeba uważnie śledzić, gdzie kiełkują nowe myśli, i przyczynić się do ich rozpowszechniania. Na dzisiaj bowiem działalność propagandowa jest najważniejsza.

Ponieważ w ciągu mych rozważań wielokrotnie podkreślałem, że ludzie mogliby mieć prawdziwy „róg obfitości” dóbr wszelkiego rodzaju i ponieważ tak teza jest kamieniem

węgielnym całego mego rozumowania, więc zwracam uwagę na „Deklarację praw człowieka”, którą w Anglii przed kilku miesiącami sformułował, po dyskusji przy uchwale 2.000 ludzi, takich jak arcybiskup Yorku, Attlee, Morrison, Komitet w składzie lorda Sankey, H. G. Wellsa, R. Caldera, Angella, Gregor’ego i inn.

W uzasadnieniu tej deklaracji znajduje się potwierdzenie naszych poglądów o tym, że rozwój s.ś. mechanicznych daje ludziom możliwości, przerastające wszelkie porównanie z przeszłością. Autorzy deklaracji stwierdzają, że człowiek reaguje na te nowe warunki życia na ślepo, marnotrawiąc wiele szczęścia i dobrobytu. A dalej piszą: „Rządy albo przekształcają państwa na kolektywizm, albo wpadają pod panowanie monopolu przemysłowych lub finansowych”. A dalej: „Ani rządy, ani wielkie zakłady gospodarcze i finansowe nie były tworzone dla sprawowania takiej władzy; były one organizowane, aby odpowiedzieć potrzebom innym niż współczesne”.

„Pod naporem nowych warunków wzmagają się niepewność, nadużycia i tyrania, zaś wolność, szczególnie wolność myśli ulega rozkładowi”. Tymczasowa korzyść z szybkości działania, jaką daje „monopolizacja” władzy, jest uzyskiwana za cenę postępującej i głębokiej demoralizacji społecznej. Pozbawione wolności i poczucia odpowiedzialności ludy są skazane na popadnięcie po fазie służalczej dyscypliny w nieład i gwałty”. „Wszędzie wzmagają się wojna i eksploatacja najpotworniejsza, do tego stopnia, że nowe siły i nowe możliwości ludzkości, które ją doprowadziły tak blisko nieograniczonej obfitości, wydają się być stracone — i może na zawsze — we wstrząsie socjalnym, chaotycznym i nieuchronnym”.

Nie podzielał pesymizmu autorów deklaracji, która owiana pięknośdostwem jest ostatecznie tylko pięknośdostwem, ale popieramy ze wszystkich sił tendencję deklaracji, zmierzającą do rozszerzenia i zagwarantowania praw człowieka, gdyż jest to ważny środek dla umożliwienia pokrzywdzonym zgromadzenia się do walki o lepszy rozdział dóbr.

Znacznie bliżej trzyma się ziemi i dlatego znacznie ciekawszy jest dla nas artykuł, który wydrukował w czwartym tomie londyńskiego „Solidarity” znakomity ekonomista holenderski J. A. Veraart.

Artykuł prof. Veraarta nie zawiera w gruncie rzeczy nic nowego. Chodzi mu o unowocześnienie pomysłów syndykalistycznych. Krytykując doświadczenia państw totalistycz-

nych, uznaje jednak konieczność planowania wewnątrz państw i w skali światowej. Wewnątrz państw chciałby widzieć 150—200 zawodowych rad gospodarczych (po angielsku nazywa je Economic Public Bodies). W każdej z rad zasiadali by przedstawiciele przedsiębiorców, pracowników pewnej gałęzi przemysłu oraz przedstawiciele państwa.

Niektóre rady miałyby zasięg międzynarodowy, np. nafta, węgiel, kauczuk, metale, wielkie linie żeglugi morskiej i powietrznej i t. d. Izby te postawione zostałyby pod kontrolę władz międzynarodowych, które będą czuwać nad wykonaniem umów międzynarodowych, walutowych i handlowych. W ten sposób zostałyby silnie zmniejszony dominujący wpływ, wywierany na rządy przez trusty i monopole międzynarodowe.

Zawodowe rady gospodarcze mogłyby zająć się wymianą międzynarodową oraz rozdziałem surowców, a także sprawami wyżywienia w skali światowej.

Projekt prof. Veraarta jest tylko zgrahnie naszkicowany. Buzi on zastrzeżenia zasadnicze, ale przy dzisiejszym układzie stosunków jest to najrozsądniejszy i najdalej idący program na drodze do rzeczywistego umiędzynarodowienia surowców i środków transportowych. Wszystkie mniejsze narody winny skupić się wokół tego programu. Niebawem będą dwie sposobności wystąpienia na forum międzynarodowym. Pod koniec kwietnia ma się odbyć w Ameryce Międzynarodowy Kongres Pracy, (ILC) zaś w czerwcu — Międzynarodowy Kongres Związków Zawodowych.

Zarówno w jednym jak i w drugim wypadku delegaci polscy powinni wystąpić nie tylko z drobnymi aktualistycznymi postulatami, nie tylko ze swymi bólami i bolączkami, ale także z wielkim programem przyszłościowym. Sama liczebność narodu polskiego dysponuje przedstawicieli Polski do objęcia przywództwa w zabiegach narodów średnich i małych o równouprawnienie gospodarcze z uprzywilejowanymi mieszkańcami wielkich imperiów. Dzieje polskich walk i myśli wolnościowych nakładają na nich ten sam obowiązek wobec przeszłych i przyszłych pokoleń.

Na ILC (International Labour Congress) mają być delegaci co najmniej 44 państw. Wiele z nich liczy poniżej 5 milionów mieszkańców, większość — poniżej 15 milionów, jasnym jest, że w tych warunkach delegacja państwa o 35 milionach obywateli musi uzyskać należyty głos.

Jest to sprawa nie mniej ważna od nie-

złomnej postawy w obronie innych praw. Trzeba bowiem przypomnieć dzisiaj co pisał po tamtej wojnie Rathenau, w broszurze „Der neue Staat” w 1919 r. „Wojna i pokój, który nastąpi, pozornie wyszorowały do najwyższej wysokości wielkie sprawy politycznej polityki, ale w rzeczywistości zniszczyły je. Zewnętrzna i polityczna polityka dadzą jeszcze niejaki teatralne widowiska, ale potem ustąpią i na ich miejsce stają gospodarka międzynarodowa i polityka socjalna”. Jeśli ktoś chce zrozumieć cokolwiek z tego, co się teraz dzieje i co w przyszłości nastąpi, jeśli ktoś chce rozprawić o wojnie i pokoju, to musi oderwać oczy od proseniów, choćby tam przykuwały jego oczy występy najznakomitszych politycznych żonglerów i bruchomówców.

Oczywiście, w ciężkich czasach przejściowych będzie rozstrzygać o losach narodów i grup ludzkich ich stan posiadania pod względem monopolu surowcowych. Dopiero dalsza przyszłość przyniesie rzeczywiste równouprawnienie narodów, do którego grunt przygotowuje scientific humanist. Gdy plon dojrzeje, dokonamy zbiorów. Najgorszą zarazą, która zagraża tym plonom, są stare, przestarzałe kompleksy idei. Rozważania o etapie przejściowym osłabiają prostolinijność naszych zasadniczych wywodów. Ale tylko pozornie. Właśnie rozpatrzenie palatywów, które mogłyby osłabić lub uspić czujne spojrzenie w dalszą przyszłość, uchronić winno przed ugrzęźnięciem na manowcach.

P. S. Jakkolwiek sprawy przemysłu wojennego są tylko jedną z przesłanek powyższych rozważań, to jednak są one tak ważne i przekonujące, że uważam za pożyteczne dodać oprócz cytowanych jeszcze nieco bibliografii:

Consett W. P. — The Triumph of Unarmed Forces, London 1928.

Holland T. H. — The Mineral Sanction, Edinburgh 1935.

Launay Luois et Jean Senac — Les Relations Internationales des industries de guerre.

Nitti Fr. — La tragedie dell'Europe, Torino 1924.

Union of Democratic Control, The Secret International, London 1936.

Union Entrepralmentaire, Comment va venir une guerre nouvelle, Zürich 1932.

Proszę czytelników, którzy natknęli się na inne aktualne książki na ten temat o skomunikowanie się ze mną przez redakcję „W Drodze”.

Marian Górecki

#### Rola Francji w świecie

Piękny artykuł na temat roli Francji w wojennej Europie ogłosił w zeszycie z dn. 15 grudnia londyńskiej „La France Libre”, znany angielski pisarz polityczny, D. W. Brogan, autor książek o życiu politycznym Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji. Czytamy w nim:

„Obecna sytuacja... Europy i świata przypomina sławną scenę uczt w „Makbezie”: Francja gra tu rolę ducha Banka. Na scenie międzynarodowej odczuwa się wielki brak; jest to brak Francji, która byłaby panią swego losu i byłaby zdolna do odgrywania w Europie i w świecie swej tradycyjnej roli...”

Nie należy ani na chwilę zapominać, że wychylimy się dziełem niemieckim, i to do pewnego stopnia dziełem udanym. Jest oczywistym faktem, że to Francuzi zdecydowali się na zaprzestanie walki w metropolii i na prośbę o zawieszenie broni. Ale to właśnie Niemcy ustalili warunki zawieszenia broni, wyciągnęli zeń zyski, postanowili ograniczyć teren swej bezpośredniej władzy do części terytorium i nie tylko tolerowali, ale i popierali rząd Vichy. To Niemcy wybrali tę politykę w r. 1940 z racji, które dla nich, Niemców, były dobrymi racjami...”

Polityka Vichy oznaczała abdykację Francji z jej roli jednego z produkujących mocarstw w świecie. Roli tej dała Francja wyraz we wrześniu 1939 r. przez to że — wraz z Wielką Brytanią — z własnej decyzji wstąpiła w wojnę z Niemcami, że nie jest tylko ofiarą napaści niemieckiej, ale że Niemcom hitlerowskim sama wypowiedziała wojnę. Decyzję tę atakowali wichyści. Tymczasem jest ona właśnie tytułem do sławy Francji.

„Nie wystarczy odpowiedzieć na to, że decyzja z r. 1939 była decyzją naturalną, rozsądną i automatyczną, ponieważ Hitler zdradzał swe zamiary w sposób tak jasny, że tylko rząd całkiem sparaliżowany, całkiem bierny, całkiem tępy, mógłby nie zrozumieć „Mein Kampf” i zajęcia Pragi. Ale ludzie bezczelni, którzy nie chcą przyznać Francji tej zasługi, że postąpiła w sposób całkiem równocześnie odważny i rozsądny (a rozsądek jest w polityce wielką cnotą), potępiają również wielkie narody i mężów stanu o światowej reputacji. Zapominają oni, że intencje Hitlera wobec Francji były mniej pewne, nie tak publicznie rozgłaszane, nie tak zgodne z jego potrzebami politycznymi, gospodarczymi i wojskowymi, jak jego zamiar i jego potrzeba najazdu na Związek Sowiecki. Rosja była mocarstwem groźniejszym, bolszewizm rywalem politycznym, którego się należało bardziej bać niż republikanistycznej Francji. Jeśli decyzja jaką Francja podjęła we wrześniu 1939 r., była jej podyktowana przez prosty rozsądek, co powiedzieć o decyzji, jaką powzięli Rosjanie w sierpniu 1939 r.? Czyż nie wywołali oni przez to gwałtownego przebudzenia z 22 czerwca 1941 r.?”

Ta okoliczność, iż losy Francji w ciągu bieżącej wojny były takie same jak innych narodów europejskich, iż tak samo jak te narody przeszła ona przez okres okupacji niemieckiej, sprawia, że po wojnie będzie się ona mogła łatwiej od Wielkiej Brytanii, nie mówiąc już o Stanach Zjednoczonych czy ZSRR, dogadać z innymi narodami europejskimi, że będzie naturalniejszym ich przewodnikiem duchowym niż jakiekolwiek inne z państw sprzymierzonych:

„Kiedy przyszedł po wojnie odbudować życie kulturalne i intelektualne Europy, wielka rola przypadła Brytanii i Stanom Zjednoczonym, nie mówiąc już o ZSRR. Ale wszystkie te trzy państwa są w pewien sposób obce Europie. Stany Zjed-

noczone bardziej jeszcze niż Anglia, zresztą są one przewodnikiem narodów mówiących językiem angielskim. Język niemiecki na przeciag przynajmniej całego pokolenia stracił prawo obywatelstwa. Francja, język francuski, kultura francuska będą stanowiły co najmniej jeden z kamieni węgielnych nowej budowl...

„Nierozsądna дума — kończy Brogan — nierozsądna odmowa uznania werdyktu sił zbrojnych, nieuchronnego biegu historii, „fali przyszłości” (jak mówi pani Lindbergh), oto znaki, po których rozpoznaje się wielki naród. Podobnie jak Anglię w r. 1940, tak dziś i Francuzi nie chcą być rozsądni, nie chcą dać się sprowdzić do roli drugorzędnej. Wojna ta nie przyniesie za sobą finis Galliae, a świat powinien się z tego tylko cieszyć”.

#### Niemcy, 1944

Nowojorski tygodnik „The Nation” ogłasza w numerze z dn. 15 stycznia artykuł J. Alvareza del Vayo na temat sytuacji w Niemczech. Autor opiera się tu na dwóch źródłach: na książce skandy-nawskiego dziennikarza Arvida Fredborga, który wyjechał z Niemiec w lecie 1943 r., oraz na liście z Hiszpanii od osoby, która niedawno opuściła Niemcy.

„Jednym z pierwszych wrażeń, jakie wynosimy z książki, jest, że żadne z nieszczęść ani trudności, jakie oczekują naród niemiecki na jego drodze ku klęsce, nie będzie czymś nowym. Z wyjątkiem ostatniego załamania Niemcy przeszli już przez wszelkie możliwe najboleśniejsze doświadczenia. W nadchodzących miesiącach doświadczenia te mogą, rzecz prosta, powtórzyć się w tak ostrej formie, że będą już nie do wytrzymania. Ale przy ocenie ich dobrze jest mieć w pamięci obserwację p. Fredborga: „Często — mówi on — miałem okazję do rozważań, na temat fantastycznej wytrzymałości, jakiej dowody składają Niemcy: wytrzymałość ich wydaje się być niemal cudowną”. Dlatego nie należy przeceniać objawów niezadowolenia wśród Niemców, klótni przywódców hitlerowskich czy aktów sabotażu.

Najbardziej zniechęcającym w Niemczech człowiekiem jest Himmler. Jest on jednak dziś u szczytu władzy. Ilość gestapowców oblicza się na około 500 000. Są oni doskonale wyposażeni w broń. „Wiele z tego co słyszeliśmy o nieporozumieniach między Hitlerem a jego generałami, jest prawdą. Kiedy cokolwiek, który był uważany za mózg armii niemieckiej, generał Halder, został zastąpiony jako szef sztabu generalnego przez nieznane go oficera, który tylko miesiąc przedtem był zwykłym pułkownikiem, zerwanie armii z partią zdawało się być nieuchronne... Ale nie po ważnego nie zdarzyło się ani wtedy, ani potem. Generał Zeitzler spełnia od grudnia obowiązki szefa sztabu, ponosząc klęskę po klęsce, bez żadnych większych kwalifikacji na to stanowisko ponad zdolność dobrej współpracy z wodzem naczelnym”.

Ludzi znajdujących się w opozycji, dzieli Fredborg na cztery grupy: monarchistów, liberałów, socjalistów i komunistów. W jesieni 1942 r. ilość ludzi, którzy brali udział w ruchu podziemnym, oceniano na około 150 000. Obecnie ilość ich wzrosła. Ze względów technicznych jednak ich możliwości wywołania skutecznego powstania są nikłe.

Goebbels ciągle jeszcze należy do najpopularniejszych przywódców hitlerowskich. Hasłem jego

propagandy, które okazało się najsukuteczniejsze, jest: „Nie powtórzy się nigdy r. 1918”. Wiele ludzi w Niemczech żyje jeszcze nadzieją, że tak samo jak Fryderyk Wielki w czasie Wojny Siedmioletniej zdołał z bardzo trudnej sytuacji wymanewrować korzystny dla Prus pokój, tak i teraz Niemcom uda się jednak uzyskać pokój kompromisowy.

Obraz ten uzupełnia autor listu z Hiszpanii. Pisz on m. in.:

„Nagle Niemcy stały się krajem, w którym nie ma radości. Ludzie w mundurach wyglądają jak automaty; jedynie uczucie, jakie ożywia ich twarz, to rosnące poczucie strachu. Ludzie mechanicznie odbywają swą drogę do fabryki i do domu. Jedzą jeszcze obficie, ale przestali się już cieszyć jedzeniem. Dużo silniejszym od głodu jest pożądanie zdobycia ekstra godziny na sen, któryby wynagrodził bezsenne noce, na jakie naloży skazują ludność wielkich miast”.

#### Prez. Roosevelt i strajki

Londyński „The New Statesman and Nation” ogłasza w numerze z dn. 1 stycznia b. r. artykuł wstępny na temat ostatnich strajków w Stanach Zjednoczonych i sposobów, jakich używa prez. Roosevelt dla uporańia się z nimi:

„Publiczność nauczyła się już przyjmować ze względny spokojem wiadomości, że robotnicy w działach przemysłu amerykańskiego równie ważnych dla zwycięstwa jak sama armia, albo zastrajkowali albo też zagrozili strajkiem. Po węglu i stali przyszła kolej na ten kryzys na kolejach, gdzie pracuje zgórą milion ludzi. Jak i reszta świata odczuliśmy z ulgą, słysząc, iż interwencja Prezydenta ma przynieść załatwienie sprawy. W sporach tych zastosowano procedurę, która z daleka wygląda na dramatyczną i dyktatorską, a która w rzeczywistości jest dosyć łagodną drogą wyjścia z kłopotów. W czasach wojennych zapewnia ona szybkie rozwiązanie i pozostawia po sobie mało zadrażeń. Załogi fabryczne, albo, jak to się zwykle zdarza, część ich, odrzuca usługi normalnych instancji arbitrażowych i rzuca wyzwanie zarówno prawu, jak i w niektórych wypadkach własnym naczelnym władzom związkowym, strajkując albo też grożąc przystąpieniem do strajku. Czasem opornymi okazują się raczej przedsiębiorcy, a nie pracownicy. Prezydent interweniuje wtedy, przejmując fabrykę, obejmuje ją w zarząd przy pomocy armii i z zastosowaniem dyscypliny wojskowej i w ten sposób narzuca rozwiązania, które zawsze okazują się korzystne dla robotników.

Procedura taka głęboko obraża tradycje amerykańskie. Pewne jej szczegóły są przykre: naprzykład ranga pułkownika, nadana dyrektorem tych kompanii kolejowych i możliwości surowych kar za nieposłuszeństwo. Ale procedura ta służy dwu celom. Stwierdza ona, jakkolwiek w sposób wybuchowy i nieelegancki, że te działy przemysłu, choć prowadzone z myślą o zysku, są jednak w ostatecznej instancji dobrem publicznym, nad którym suwerenne prawa sprawuje ogół. Po drugie pozwala ona każdemu, zamieszkanemu w konflikcie, na dokonanie ustępstw bez uszczerbku dla prestiżu”. Autor tłumaczy następnie, iż przejęcie przez Prezydenta szeregu fabryk pozwoliło na podwyższenie płac pracowników w skali, która byłaby inaczej niemożliwa.

Rolę czarnego charakteru w dramacie odgrywa Kongres, w czym znowu znajduje swe odbicie

zła wola amerykańskiego kapitalizmu wobec prezydenta. Robotnikom nie trzeba wiedzy ekonomicznej dla wyciągnięcia morału z pewnych, notorycznie znanych faktów. Podczas gdy zgodzili się oni na ustalenie maksymalnych płac, Kongres uniemożliwił kontrolę cen żywności przez położenie weta na ustawie o pomocy dla rolnictwa. Kępuje on także przy wszelkiej możliwości politykę Departamentu Skarbu i uniemożliwił starania p. Morgenthaua zastosowania do Stanów Zjednoczonych tej techniki powstrzymania inflacji, która doprowadziła do pomyślnych rezultatów w Anglii”.

#### Linie kolejowe i strategia na froncie rosyjskim

„Linie kolejowe dyktują strategię na froncie rosyjskim” — taką tezę wysuwa w „New York Times” z dn. 6 stycznia b. r. W. H. Lawrence:

„Jednym z rysów charakterystycznych frontu rosyjskiego jest, iż celami są tam zawsze centra komunikacyjne, głównie kolejowe. Masowe ruchy armii lądowych, jakie miały miejsce na tym froncie od początku rosyjsko-niemieckiej wojny, są zgodne z klasyczną tradycją. Celem planów naczelnych dowódców obu stron są zawsze centra kolejowe czy drogowe. W taki sam sposób kierownicy działań wojennych szukali tego typu celów w amerykańskiej wojnie cywilnej, w wojnie francusko-pruskiej i w pierwszej wojnie światowej.

Nie odnosi się to do innych frontów obecnej wojny, gdzie, jak dotychczas tak wielkie siły lądowe nie walczyły, jakkolwiek odnosi się to do tego krótkiego okresu, kiedy nazis najechali Francję.

Inaczej niż komunikaty z południowo-zachodniego Pacyfiku, albo z Włoch, albo z kampanii afrykańskiej, rosyjskie i niemieckie komunikaty z walk na tym froncie rzadko wspominają o wzięciu ważnych lotnisk. Oczywiście tłumaczenie tkwi, rzecz prosta, w porównaniu typu sposobu walki, jaki jest tu uprawiany, ze sposobem walki na innych frontach.

W południowo-zachodnim Pacyfiku i we Włoszech zdobycie lotnisk jest rzeczą ważną nie tylko dla zabezpieczenia przejść morskich i komunikacji. Są one ważne także jako bazy przyszłych ataków przeciwko nieprzyjacielskim celom i liniom komunikacyjnym.

Na tym froncie lotnictwo używane jest obecnie przede wszystkim dla poparcia wojsk lądowych. Po obu stronach frontu jest stosunkowo mało strategicznego bombardowania.

Inną przyczyną, dla której nie podkreśla się zdobycia lotnisk, jest fakt, iż cała Ukraina jest potencjalnie jednym wielkim lotniskiem; każda równina jest tu równie dobra dla samolotów.

Nie ma tu na żadnej ze stron tego wydatkowania wielkiej ilości pracy, materiałów i funduszy na budowę współczesnych cementowych, asfaltowych czy innych wybiegów, takich, jakie są w użyciu na amerykańskim, brytyjskim i innych teatrach wojny.

Najszerszą drogą pobicia nieprzyjaciela na tym teatrze jest przejście jego kolei i dróg komunikacyjnych, co było celem wszystkich przeszłych i obecnych ruchów obu armii...

Dlatego każde natarcie sowieckie jest skierowane na węzły kolejowe. Jest to prawdopodobnie bardzo monotonna dla przeciętnego amerykańskiego czytelnika gazet, kiedy mu się dzień po dniu mówi, że wojska sowieckie zdobywają miasto po mieście o trudnych do wymówienia nazwach, które są ważnymi węzłami kolejowymi”.

## Z PRASY OBCEJ



JAKUB MACKIEWICZ

# O zaburzeniach pamięci wśród uchodźstwa

Wśród wielu chorób epidemicznych, które ludność nasza przeszła podczas czteroletniej przeszłości tułaczki (tyfus, dżynteria, wszelkiego rodzaju awitaminozy, zimnica i t. p.) należy odnotować jeszcze jedną chorobę, która wystąpiła wprost w rozmiarach pandemii, o której często się mówi, lecz którą, o ile mi wiadomo, ani w prasie ogólnej, ani też w prasie specjalnej się nie zajmowano. Mam na myśli zaburzenia pamięci. Na każdym kroku można słyszeć skargi na brak pamięci.

Przytoczę dla ilustracji kilka przykładów. Jako lekarz jednej z delegatur na południu Rosji, byłem niejednokrotnie świadkiem, jak ludzie, rejestrując się w wydziale ewidencji, nie byli w stanie przypomnieć sobie nazwiska panińskiego swojej matki... W rozmowie ze mną, stosunkowo niedawno, pewien lekarz, major służby czynnej, nie mógł sobie przypomnieć nazwiska naszego wodza naczelnego z okresu Września („No... jak on się nazywał... ten marszałek, który powiedział w swoim czasie „maszerować!“...) i dopiero trzeba mu było podpowiedzieć „Rydz-Śmigły“... Tak samo w rozmowie ze mną jeden z kolegów nie mógł sobie przypomnieć nazwiska swego teścia... Kilkanaście miesięcy temu, w rozmowie z koleżanką wyszło na jaw, że w swoim czasie pracowaliśmy prawie że jednocześnie u jednego i tego samego profesora we Wiedniu, lecz nie byliśmy w stanie przypomnieć sobie jego nazwiska. Trzeba dodać, że był to jeden z luminarzy nauki lekarskiej, którego nazwisko jest znane każdemu studentowi na całym świecie. Dopiero po upływie kilkunastu godzin przypomnieliśmy sobie to nazwisko. Nazajutrz rano okazało się, że koleżanka w ciągu dnia też sobie nazwisko to przypomniała.

Jak dalece zjawisko to — zaburzenie pamięci, — lub, jak laicy to nazywają, „utrata pamięci“, jest rozpowszechnione, widać z rozmowy następującej. Przez dłuższy czas byłem biegłym jednego z naszych sądów polowych. Pewnego dnia prezes sądu zwraca się do mnie z następującym zapytaniem: „Panie doktorze!... Praca nasza jest wielce utrudniona tym, że co drugi świadek na zapytania odpowiada, że nie pamięta... Jak my mamy się do tego ustosunkować; czy rzeczywiście nasza ludność zatraciła pamięć, czy też należy to traktować jako wykręt i złą wolę?“ Wytymaczyłem, jak sprawa ta się przedstawia z punktu widzenia naukowego, jak utrata pamięci przedstawia się w świetle naszych spostrzeżeń lekarskich, i wtedy usłyszałem, co następuje: „Ależ to jest okropne! Jak się z tego można wyleczyć?... Wszak ja sam cierpię na utratę pamięci! Mnie to męczy na każdym kroku! Panie Doktorze! Niech mi Pan poradzi, co mam robić, aby moja dawna fenomenalna pamięć znów do mnie powróciła!“

Otóż przedstawiam wyniki swoich spostrzeżeń nad tym zagadnieniem. Podczas pierwszych dziesięciu miesięcy naszej tułaczki — do wywieżenia masowego na „posiołki“ — nie miałem okazji ani słyszeć o zaburzeniach pamięci, ani też zaobserwować zaburzenia pamięci.

Na „posiołku“ już w trzecim i czwartym miesiącu pobytu usłyszałem pierwsze skargi i jednocześnie zauważyłem sam, że pamięć nazwisk u mnie mocno się psuje. Dotyczyło to tak samo zapamiętywania nowych nazwisk, jak też i przypominania sobie (reprodukcji) nazwisk dawniej przyswojonych. Z biegiem czasu stało się to zjawiskiem masowym, przede wszystkim wśród inteligencji: utrata pamięci była stałym tematem częstych rozmów, zresztą zjawisko to w dłuższej rozmowie towarzyszykiej wypukłało się co kilka minut. Dwa były główne tematy niewyczerpalne naszych rozmów: nasz los i najbliższe jego perspektywy oraz wspomnienia z lat ubiegłych (ricordarsi tempi felici) i tu podczas opowiadania z okresów przeszłości zaburzenia pamięci uwydatniały się na każdym kroku. Ale tu już ujawnił się fakt, zasługujący na uwagę. Pracowały u mnie jako sanitariuszki 3 kobiety: jedna lat 50, druga lat 38, trzecia lat 26. Otóż najstarsza nie była w stanie zapamiętać ani też przypomnieć sobie ani jednego nazwiska chorych na posiołku, druga zdradzała te same objawy, lecz w nieco mniejszym stopniu, podczas gdy najmłodsza doskonale wszystko pamiętała. Jednocześnie zauważyłem, że córka moja (miała wtedy lat 14) na każdym kroku niemal wyręczała mnie, podpowiadając mi nazwiska, daty i miejscowości, których nie byłem w stanie sobie w żaden sposób przypomnieć.

Obserwacje te doprowadziły mnie do wniosku, że zaburzenia pamięci spostrzega się przeważnie wśród inteligencji, i to wyłącznie u osobników powyżej lat 30-tu; im starszy był osobnik, tym zaburzenia były intensywniejsze, podczas gdy u osobników młodszych pamięć była zachowana bez zarzutu. Ten niezbit fakt mogłem potwierdzić później w Teheranie w ciągu 15-tu miesięcy, czyniąc obserwacje nad materiałem znacznie liczniejszym niż na „posiołku“. Następnie analizując głębiej zaburzenia pamięci u naszej ludności, mogłem się przekonać, że utrata pamięci przede wszystkim dotyczyła okresu ostatnich dziesięciu—piętnastu lat; dawniejsze fakty, wydarzenia oraz zafiksowane nazwiska utrzymywały się w pamięci stosunkowo nieźle, ma się rozumieć, z pewnymi nieznacznymi indywidualnymi odchyleniami. Co się dotyczy strony jakościowej zaburzeń pamięci, to w niektórych przypadkach u jednego i tego samego osob-

nika utrata była kompletna, t. zn. że nawet po dłuższym wysiłku nie był on w stanie mimo starań w żaden sposób sobie przypomnieć. W innych zaś przypadkach po pewnych wysiłkach, bardzo przykrych zresztą, po pewnym czasie osobnik przypominał sobie żądane nazwisko. Należy zaznaczyć, że proces utraty pamięci, z chwilą gdy się rozpoczął, stale narastał.

Jakie mogły być przypuszczenia co do podłoża, przyczyny i powodów tego epidemicznego wprost zjawiska? Zwykle, gdy w pole naszego widzenia i zainteresowania dostaje się jakieś nowe i niezrozumiałe zjawisko, staramy się znaleźć rozwiązanie i wytłumaczenie jego w podręcznikach, czasopiśmie specjalnie naukowych, encyklopediach i t. p., jednym słowem w t. zw. piśmiennictwie naukowym. Pytamy się, jak się sprawa ta przedstawia w oświeceniu badaczy, którzy się nią już zajmowali. W naszym przypadku było to jednak niemożliwe, ponieważ na terenie Rosji, przynajmniej w tych miejscowościach, gdzie pobyt nam był dozwolony, tego wszystkiego odnaleźć nie było sposobu. Byliśmy pozostawieni samemu sobie. Lekarze na ten temat prowadzili ożywione dyskusje, wysuwając rozmaite przypuszczenia zupełnie luźnego charakteru; była mowa o wyczerpaniu nerwowym, o przedwczesnym inwalidztwie, o przedwczesnej miażdżycy naczyń mózgowych, najwięcej mówiło się o awitaminozie, ewentualnie o preawitaminozie.

Do Iranu przyjechałem drugim rzutem ewakuacyjnym we wrześniu 1942 r. i tam zastałem już sporą grupę ludzi, którzy przyjechali pierwszym rzutem w kwietniu 1942 r., t. zn. przebywali już w Teheranie od pięciu miesięcy. Przekonałem się, że wśród tej grupy ludzi bardzo dużo cierpi na utratę pamięci, pomimo że przez ostatnich pięć miesięcy odżywiali się prawidłowo. Gdyby utrata pamięci była na tle awitaminozy, to stanowczo wszystkie objawy bezwzględnie minęłyby już dawno.

Moje poszukiwania w dostępnym dla mnie piśmiennictwie w Teheranie wskazywały na to, iż nauka lekarska nie zna takiego masowego zaburzenia pamięci i że nie podobnego nie jest notowane ani w encyklopediach, ani też w czasopiśmie specjalnych.

Wkrótce przekonałem się przy bliższym obcowaniu z ludźmi oraz na posiedzeniach naukowych, że część inteligencji stanowczo zachowała swą pamięć w dobrym stanie i bez trudu korzysta z jej zasobów. Dalej wyjaśniło się, że przeżyli oni to samo co inni, lecz przebywali jednak na zesłaniu w znacznie lepszych warunkach, np. jeśli chodzi o lekarzy, to pracowali oni w większych szpitalach na zesłaniu, kontynuowali nawet swe prace naukowe, nie byli rozłączeni ze swymi rodzinami i t. d. Jednym słowem ilość emocji ujemnych tej grupy ludzi była znacznie mniejsza niż w grupie ze znacznymi zaburzeniami pamięci. Należy dodać, że reprezentanci grupy tej nie przekroczyli wieku lat 40. Jasnym już wtedy dla mnie było, że w rachubę wchodziły te dwa czynniki: wiek oraz intensywność emocji ujemnych. Zrobiłem jeszcze trzecie spostrzeżenie, a mianowicie, że gdy ludzie powrócili do swej pracy zawodowej, pamięć stanowczo stopniowo, a w niektórych przypadkach dość szybko powracała. U mnie samego, po upływie czterech — pięciu miesięcy zwykłej pracy szpitalnej oraz powrotu do pracy naukowej pamięć prawie że w stu procentach powróciła do dawnego stanu. Spostrzeżenia swe dalej kontynuowałem już pod kątem widzenia tych trzech momentów. Wkrótce przekonałem się, że mam w swojej kolekcji kilka przypadków, stanowiących wyjątek od tej zasady: w dwóch przypadkach miałem do czynienia z osobnikami poniżej lat 40-tu, a w kilku innych przypadkach, z ludźmi, którzy już od 6—8 miesięcy powrócili do swoich zajęć ulubionych, a mimo to pamięć ich dalej mocno szwankowała.

Zainteresowałem się bliżej tymi przypadkami. Okazało się, że obaj osobnicy poniżej lat 40-tu należeli do typowych flegmatyków, powolnych w ruchach i w mowie, oprócz tego przeżywali oni ciężką tragedię duchową — jeden w związku z rozłąką z rodziną, drugi miał długotrwałe tarapaty duchowe — śledztwo i dochodzenie...

Co się dotyczy kilku innych przypadków, to ludzie ci mieli dalsze utrapienia duchowe, byli przeciążeni bardzo odpowiedzialną pracą, a oprócz tego byli alkoholikami. Te spostrzeżenia wykazały, że nawet powrót do pracy zawodowej, o ile egzystowały powody do

dalszej depresji lub przy przewlekłym alkoholizmie, nie stwarza warunków do restytucji pamięci. Pamięć powraca wtedy, gdy człowiek wciąga się w swoje zajęcia ulubione, gdy przy tym ma samopoczucie dobre, nie zakłócone emocjami ujemnymi. Alkoholizm stoi stanowczo na przeszkodzie restytucji pamięci.

Pozostało jeszcze wyświetlić dokładniej wpływ tych emocji ujemnych na mechanizm zaburzeń pamięci.

Wojna, cofanie się armii, ewakuacja, pobyt w nowych warunkach, areszt, zesłanie, praca przymusa, następnie tułaczka, rozłąka z rodziną, tęsknota za Krajem, obawy o los Kraju, praca nie w swoim zawodzie... wszystko to są przeżycia niezwykle deprymujące. Jeśli dodać do tego chwilowe, a niekiedy i długotrwałe załamania się psychiczne — wszystko to z punktu widzenia fizjologii kory mózgowej należy zaliczyć do stałe sumujących się bodźców, hamujących czynność kory mózgowej. Każdy fizjolog powie, że mózg nasz przebywał w stanie wciąż narastającego zahamowania.

Największy znawca ludzkich cierpień duchowych, Dante, uważa, że „nie ma większego bólu, jak przypominać sobie czasy szczęśliwe podczas nieszczęścia...“ Należy pamiętać, że pod wpływem tego właśnie „największego bólu“ przebywaliśmy stale i, niestety, nadal jeszcze przebywamy. Więc jeśli szereg innych bodźców natury ujemnej możemy nazwać bodźcami zewnętrznymi, to z tym bodźcem wewnętrznym nie rozstawaliśmy się ani na chwilę. Znaczenie lepiej byłoby, gdyby zaburzenia pamięci szły właśnie w kierunku tych „czasów szczęśliwych“, ale, niestety, tak nie jest, ponieważ byłoby to wbrew prawu Ribota o „odwrotnym rozwoju pamięci“, o którym będzie mowa niżej.

Pamięć i intelekt stanowią podstawowe elementy naszej psychiki. Wszelkie przeżycia psychiczne zostawiają w komórkach nerwowych mózgu ślad — engrammat, według Semona. Na trwałość engramatów mają duży wpływ asocjacje, powstające bezpośrednio w tym okresie. Jednym z głównych czynników pamięci — to stan afektywny i stopień zainteresowania w momencie tworzenia się engrammatu.

Pamięć jako całość składa się z trzech elementów zasadniczych:

1. zdolności do zapamiętywania nowych wrażeń,
2. retencji, t. zn. rezerwy potencjalnej pamięci (pamięć w ścisłym znaczeniu tego słowa) i
3. reprodukcji, zdolności aktywizacji engrammatu za pomocą mobilizacji rezerw pamięciowych.

Dawniej dzielono pamięć na mechaniczną, logiczną i afektywną; ostatnio dzielimy pamięć na wzrokową, słuchową i ruchową. Praktycznie jednak przeważnie mamy do czynienia z typem mieszanym pamięci. Najwyższy rozwój pamięci osiąga w wieku lat 25, utrzymując się na poziomie tym mniej więcej do lat 40—50; po okresie tym pamięć stopniowo „psuje“ się. Zdaniem znanego autorytetu w tej dziedzinie, Ribota, przy utracie pamięci działa „prawo odwrotnego rozwoju pamięci“, które polega na tym, że utrata pamięci idzie w kierunku od teraźniejszości ku przeszłości, od „nowego“ ku „staremu“. Należy podkreślić, że wszyscy badacze zgodni są w tym, że utrata pamięci jeszcze w większym stopniu niż percepcja zależy od stanu woli i afektu.

Trzeba zaznaczyć, że typ zaburzenia pamięci, który nas tu interesuje, należy do typu zaburzenia reprodukcji, przy czym sama rezerwa pamięciowa przeważnie pozostaje niepokrzywdzona. Upośledzony pozostaje tylko proces mobilizacji tych rezerw.

Sprawą pamięci dużo zajmowali się psycholodzy, lecz nie wśród ich licznych teorii szukałem odpowiedzi na interesujące nas pytania. Pamięć rozpatruje nie z psychologicznego punktu widzenia, a wyłącznie z punktu widzenia fizjologii kory mózgowej. Ta ostatnia zna dwa procesy zasadnicze: pobudzenie i zahamowanie. Stosunek wzajemny tych dwóch procesów jest czynnikiem zasadniczym kory mózgowej zarówno w warunkach fizjologicznych (zapamiętywanie, fiksacja, reprodukcja), jak też patologicznych (zaburzenia pamięci, zwłaszcza jej części reprodukcyjnej).

Fizjologia kory mózgowej poucza nas, że:

1. procesy hamowania pod wpływem określonych bodźców obowiązkowo promieniują i rozpowszechniają się na większy obszar kory mózgowej.

2. Półkule mózgowe są przyrządem wyjątkowo czułym, stwarzającym bardzo delikatny stosunek wzajemny ze środowiskiem zewnętrznym.

3. Komórki nerwowe są nadzwyczaj wrażliwe na najmniejsze wahania środowiska zewnętrznego i winny być skrupulatnie broniące od zbytecznych wysiłków, które mogłyby doprowadzić je do organicznego zniszczenia.

4. Proces hamowania występuje jako środek ochronny dla półkul mózgowych.

Gdy tylko intensywność bodźca staje się niebezpieczną dla korowej komórki nerwowej, natychmiast reaguje ona procesem hamowania.

Powyżej wymienione punkty są wynikiem niemal że pięćdziesięcioletniej pracy Pawłowa, i zaliczają się obecnie do t. zw. praw fizjologicznych.

Pawłow odrzuca śmiało, na zasadzie swoich wyjątkowo wnikliwych spostrzeżeń, wszelkie modne ostatnio klasyfikacje konstytucji ludzkiej i wraca do Hippokratesa, do jego podziału na temperamenty. Odróżnia on cztery temperamenty:

1. pobudliwy — odpowiada cholerycznemu Hippokratesa,
2. zahamowany — odpowiada melancholicznemu,
3. zrównoważony zewnętrznym spokojem, solidny — odpowiada flegmatycznemu H.
4. zrównoważony, lecz ożywiony, ruchliwy — odpowiada sangwinicznemu H.

„Typy kraiowe (pierwszy i drugi) niezdolne są do zbilansowania, dwóch procesów nerwowych zasadniczych — pobudzenia i hamowania — i rzecz zupełnie zrozumiała, że łamią się one częściej pod wpływem ciosów życiowych, niż inne typy“ (Pawłow).

Jak się przedstawiają pod kątem widzenia tego podziału Pawłowa nasze spostrzeżenia nad zaburzeniami pamięci, które typy bardziej i prędzej podlegają tym zaburzeniom?

Otóż stwierdziłem, że typy trzeci i czwarty okazały się najbardziej opornymi: najmniej opornym okazał się typ drugi. Co się dotyczy typu pierwszego, to narazie jeszcze nie przyszedłem do określonych wniosków.

\* \* \*

Tak więc nasza kora mózgowa przez czas długi przebywała w stanie stałego zahamowania. Według Pawłowa tego rodzaju zahamowanie długo trwające jest zjawiskiem celowo-obronnym w mechanizmie naszych, bardzo złożonych wyższych czynności nerwowych, na wzór wentyla bezpieczeństwa w maszynie parowej. Jeśli uważnie wczytać się w prace Pawłowa na ten temat, to należy przejść do wniosku, tylko pozornie paradoksalnego: gdyby nie zahamowanie, które doprowadziło do „utraty pamięci“, to nasz mózg byłby zagrożony w bardzo poważnym stopniu. Zahamowanie spowodowało zaburzenie czynności odwracalnej, które uchroniło nasz mózg od zniszczenia organicznego, nieodwracalnego. Zaburzenie pamięci nie jest chorobą, lecz zjawiskiem zapobiegawczym, profilaktycznym przeciw chorobie, która nam, a przede wszystkim inteligencji naszej groziła w sposób nieunikniony. To bynajmniej nie jest paradoks. Jest to zupełnie zgodne z zasadami fizjologii kory mózgowej.

Reasumując, możemy powiedzieć, że masowe zaburzenia pamięci, spostrzegane wśród naszego uchodźstwa, a nieznane w piśmiennictwie lekarskim, zostało spowodowane stanem długotrwałego zahamowania czynności kory mózgowej i jej mechanizmów asocjacyjnych. Te ostatnie odgrywają dominującą rolę w tej czynności pamięci, którą nazywamy reprodukcją.

Jakie są wnioski z powyższych rozważań?

Wraz z usunięciem powodów podstawowych tego stanu chorobliwego przynębnienia duchowego, pesymizmu, trosk ogólnych i osobistych, beczynności, — stan ten stopniowo znika i pamięć powraca. Recepta jest zatem krótka i jasna. Należy dołożyć wszelkich starań po temu, aby wyrobić w sobie pogodę ducha, optymizm; troski ogólne i osobiste trzeba wszelkimi siłami zwalczać, posługując się jak najdalej posuniętą autosugestią; stan beczynności należy przeistoczyć tak, aby dzień został wypełniony pracą czynną, produkcyjną, dającą maksimum zadowolenia duchowego. Należy odzyskać swoje ideały życiowe z powrotem i... stanowczo należy wyrzucić się alkoholu. Wszystko to powoduje rozhamowanie kory mózgowej, drogi asocjacyjne z powrotem torują się i ewiczą. Tak samo jak zahamowanie, powstałe w jednym punkcie kory mózgowej, promieniuje i rozlewa się po większym obszarze, tak samo rozhamowanie raz powstałe w jednym punkcie, promieniuje dalej po całej korze mózgowej.

„Utrata pamięci“ w tej postaci, jaką spostrzegamy wśród naszego uchodźstwa, nie jest chorobą; rezerwy pamięciowe są stanowczo zachowane. Nasuwa się porównanie następujące: mamy przed sobą kierowcę samochodu, który chce pojechać w ruch wóz, naciskając jednocześnie jedną nogą hamulec, a drugą gaźnik. Wóz, rzecz prosta, nie ruszy z miejsca; jeśli kierowca zdejmie nogę z hamulca, to wóz natychmiast ruszy naprzód. Żaden mechanik tu nie jest potrzebny. Przy „utracie pamięci“ żaden lekarz też nie jest potrzebny; każdy sam siebie może wyleczyć, trzeba tylko „zdejmąć nogę z hamulca“.

DNIA 2 MARCA ODBĘDZIE SIĘ W JEROZOLIMIE W HISTADRUTH HALL O GODZ. 8 m. 45 RECITAL FORTEPIANOWY

M A R I I B A R

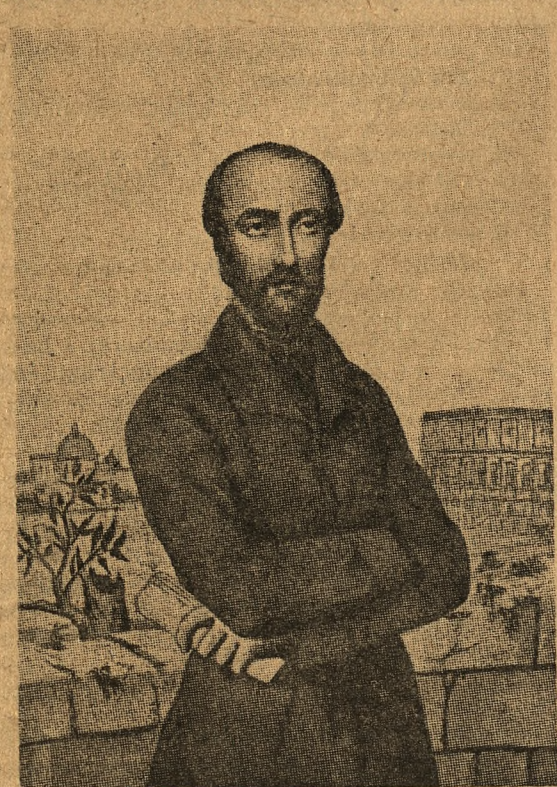
W PROGRAMIE: GLUCK-BRHS, RAMEAU, SCHUMANN, CHOPIN, DEBUSSY, RAVEL, INSTER, VERDI - LISZT.



Emigranci polscy i włoscy, którzy jak Mazzini i Mickiewicz znaleźli po wypadkach 1830 i 1831 r. gościnność we Francji, byli w przeważnej części rękodzielnikami.

Mimo obrazyjnych przestrzeni, dzielących Włochy od ziem polskich, dzieciństwo ich i lata młodzieńcze pełne były takich samych przeżyć i wrażeń. I tu i tam studia klasyczne i wspomnienia ołów napoleońskich mówią o bohaterstwach czynach i o miłości ojczyzny; i tu i tam kierunek romantyczny nie był tylko nowym prądem literackim, nie tylko protestem przeciwko starym zasadom estetycznym, lecz łączył się z dążeniem do wolności we wszystkich kierunkach, a przede wszystkim z gorącym pragnieniem odrodzenia i wolności politycznej. We Włoszech, jak w Polsce, rok 1830 był rokiem nadziei, walk i klęsk.

We Francji zbliżyła wygnaność obu narodów jednakowa bieda emigracyjna i tęsknota za ojczyzną. — Poznali się w r. 1831, najpierw w Besançon, gdzie rząd francuski urządził „zakłady” dla wychoźców politycznych, włoskich i polskich. Pośredniczył między nim J. Antonini, Włoch rodem, pułkownik 8 pułku liniowego wojsk Królestwa Kongresowego, później w r. 1848, inspektor sycylijskiej armii powstańczej, który kiepsko mówił po polsku, ale miłoścą was Polaki, drugiej swojej ojczyzny, zadokumentował na polach bitew.



GIUSEPPE MAZZINI

Najwięcej jednak zbliżał i łączył emigrantów polskich i włoskich wspólny cel, wspólne dążenie, by znaleźć drogę do ojczyzny i środki do wyrwania jej z niewoli, do zbudowania niepodległej i zjednoczonej Italii i Polski.

I oto zdawało im się, że drogę tę i środki znaleźli. Było to hasło wzajemnej pomocy ludów w walce o wolność. Głosił je Mickiewicz w artykułach „Pielgrzymia Polskiego” i w „Księgach Pielgrzymstwa”, pisał: „gdzie tylko w Europie jest uciśniona i walka o nią, tam jest walka o Ojczyznę i za tę walkę być się wszyscy powinni”. Rozszerzał to przekonanie Mazzini w artykule „De l'Initiative revolutionnaire en Europe” i w plomienach swych artykułach w „Giovine Italia”. Podzielała je wreszcie cała prawię emigracja polityczna włoska i polska.

Ciekawym dokumentem tej wiary w solidarność narodów są winyety na współczesnych drukach i aktach polskich komitetów emigracyjnych. Są tam nad herbem Polski standardy, a na nich napisy: America, Gallia, Germania, Italia, Britannia, Belgium, Hungaria.

Do zrealizowania tego hasła, — zapewne nia rewolucjon narodowym pomocy przynajmniej wszystkich emigrantów politycznych, do uzyskania dla spodziewanego ruchu powstaniego we Włoszech pomocy emigracji polskiej, składającej się przeważnie z doświadczonych oficerów, — do pracy przystąpił Józef Mazzini, dwudziestokilkuletni adwokat geneński. Szakany na wygnanie za udział w związkach węgierskich, twórca nowej konspiracji, Młodych Włoch, autor elektryzujących ówczesne Włochy artykułów w piśmie „Giovine Italia”, typ konspiratora i agitatora w najczystszyzn znaczeniu tych słów, którego blizyszczące czarne oczy i oliwkowa cera niepokoiła będą przez pół wieku polcie austriacka — uważał, iż środkiem, prowadzącym do tego celu, jest międzynarodowa tajna organizacja, i z projektem takiej organizacji zwrócił się w r. 1832 do nie dawno powstałego Towarzystwa Demokratycznego Polskiego w Paryżu. Ale pierwszy ten krok jego zawiódł. Towarzystwo Demokratyczne było pod wpływem Wysokiego Komitetu Węgier, a ponieważ Mazzini wystąpił z węglaństwa i wypowiedział mu walkę przez założenie Młodych Włoch, więc do współdziałania z nim przystąpić nie mogło.

Skierował się wówczas do paryskiego Komitetu Emigracji Polskiej, na którego czele stał Joachim Lelewel. Korespondencja między Lelewel'em a Mazziniem, nawiązana wówczas, trwała kilkanaście lat. Już w pierwszym liście z 25 czerwca 1832 r., wskazując na podobieństwo wypadków w dziejach Włoch i Polski

oraz jednakową ich niedolę, rzucił Mazzini myśl organizacji międzynarodowej. Myśl tę rozszerzał, rozwijając swe idee filozoficzne i poglądy na politykę europejską w odczytach Młodych Włoch do Komitetu Emigracji Polskiej z dn. 1 stycznia 1833 r. oraz w następnych swych listach. Nawoływie do sprzymierzenia się ludów na wzór konspiratorów z Grütli przeciw zwłokowi ciemności. Ponieważ Francja uznaje tylko taki ruch rewolucyjny, który czerpie swe źródła we Francji, a przez tę swą wyjątkowość i odkładanie akcji szkodzi częstokroć sprawie wolności, wzywa Mazzini do czynu choćby bez Francji. Przypomina, iż ostatnia wojna Polski przeciw despotyzmowi rosyjskiemu zjednała jej część całej Europy, mówi o misji kierowniczej Polski wśród Słowian, tak jak Włoch wśród romańskich narodów, oraz Niemiec u Germanów, a donosząc o gotującym się wybuchu rewolucyjnym we Włoszech, wzywa Polaków do pomocy.

I rzeczywiście w wyprawie Młodych Włochów przeciw Sabaudii w styczniu 1834 r. wzięli Polacy czynny udział. Ochotnicy polscy tworzyli więcej niż połowę wszystkich uczestników zamierzonego ataku na Chambéry. Był to oddział oficerów polskich, który opuścił Besançon w kwietniu 1833 r. na odgłos rewolucji w Frankfurcie, a gdy ta okazała się marną ementa, pozostał w Szwajcarii, zorganizował się tu w Legion Polski, niby kadry rewolucji europejskiej, która miała ich zdaniem wkrótce wybuchnąć, i nawiązał stosunki z emigrantami włoskimi i Mazziniem, wygnanym wówczas z Francji do Szwajcarii.

Ekspedycja sabaudzka nie miała wielkich widoków powodzenia; pogorszyła je sprawa dowództwa. Sabaudzcy, zgromadzeni nad jeziorem Lemanskim, i emigranci włoscy z Mazziniem na ciele, chcieli mieć wodzem wyprawy Hieronima Ramorin, generała w powstaniu listopadowym. Wyborowi temu sprzeciwiali się wychodzący polscy z K. Stolzmannem, L. Oborskim i Górdaszewskim na czele. Zarzuceni oni Ramorinie niedoświadczenie rozkazów Naczelnego Wodza armii polskiej, to iż nie pośpieszył ze swą dywizją na pomoc obłożonej Warszawie i że, chroniąc się, jeden z pierwszych, na terytorium austriackie, przychylił się najbardziej do upadku powstania polskiego. Wytaczali też, przeciw niemu zarzuty i podejrzenia natury politycznej. Mimo to Ramorino został dowódcą wyprawy. Miłowany wodzem, oddał ją ekspedycję z miesiąca na miesiąc, przyczyniając się w ten sposób do rozłożenia tajemnicy, którą znało kilkadziesiąt osób przez czas zbyt długi; nie spełnił obietnic, dotyczących przygotowań do akcji i werbunku ochotników; w czasie zaś wyprawy unikał spotkania z wojskiem sardyńskim, a wreszcie, po efektywnym przeglądzie ochotników, po ogłoszeniu bardzo wojowniczej mowy pierwszy przeszedł z terytorium sabaudzkiego z powrotem do Szwajcarii.

Kłeska w Sabaudii zamiast złać Mazzinię zwiększyła jego energię. Przy tym przeżyte niebezpieczeństwo stopiło w jedno emigrantów polskich i włoskich, znajdujących się w Szwajcarii. Wymiana idei, osobiste zbliżenie się i poznanie, oraz wspólna niechęć ku węglaństwu, który przeciwne było w owej chwili wszelkiemu działaniu, przyniósł im się do powstania nowej międzynarodowej organizacji, Młodej Europy. Duszą jej był Mazzini. Wiożył on w Młodej Europie całą swą gorącą wiarę młodzieńczą. Widział w niej zrealizowanie swych ideałów. Ze wszystkich stworzył, które w późniejszym swym bujnym życiu konspiratorskim zakładał i w których brał udział. Młoda Europa umiała najwięcej, jej hasłem nigdy nie nie sprzeciwierzył, nigdy się ich nie wyparł. Pracą w tej organizacji zastrzygił sobie u narodu włoskiego, iż dziś na największym punkcie cmentarza geneńskiego znajduje się grobowiec, wykuty w skałę, a na nim napis najprostsz, jaki sobie wyobrazić można: Mazzini. Wokoło grobowca cyprisy, znak i symbol Młodych Włoch.

Akt braterstwa Młodej Europy podpisano w trzy miesiące po wyprawie sabaudzkiej, dnia 15 kwietnia 1834 r.; przystąpił do niej: Młoda Włochy, Młode Niemcy i Młoda Polska. Było to przyrzeczenie umiarkowanych narodów, zawarte na hasłem równości ludu i narodów, republikańizmu i wzajemnej pomocy w dążeniu do wolności. Młoda Polska powstała jeszcze pod koniec roku 1833; przez innych należeli do niej J. Lelewel, L. Mirosławski, W. Zwierkowski, Pietkiewicz i Szymon Konarski. Przez emisariuszów nawiązała stosunki w Rzeczypospolitej Krakowskiej, w zabrze rosyjskim i austriackim. Z ramienia Młodej Polski wszedł do Komitetu Centralnego Młodej Europy Karol Stolzmann, który często zastępował Mazzinię w jego pracach i prowadził korespondencję Młodej Europy. Z nim, Dybowskim i Konstancyem Zaleskim łączył Mazzinię od tego czasu stosunki ścisłej przyjaźni. Stoją oni po jego stronie w walce z karbonaryzmem i popierają go w polemice przeciw Ramorino, wówczas gdy część jego rodaków stara się bronić niefortunnego wodza wyprawy. Przez emigrantów polskich, należących do Młodej Polski, rozszerza się związek ten wśród Prusów. Gdy w końcu, dzięki staraniom L. Mirosławskiego powstaje pod koniec r. 1834 Młoda Francja.

Przez Młodych Polaków poznajemy się Mazzini za sprawą polską, „cette chose sainte et indigneement profanée qu'on appelle Pologne”. Przyszłość jej i odrodzenie widzieli w ruchu ludów; po ówczesnych władcach Europy niczego nie może się Polska spodziewać, bo — jak pisze — „trzeba mieć duszę świętą, aby spełnić świętą misję”.

A kiedy, po wyprawie sabaudzkiej, uległ Dyrektoriat szwajcarski naciskowi gabinełowi

ADAM LEWAK

wschodnich, odmówił gościnności Polakom i zmusił ich do opuszczenia Szwajcarii, a do rozproszenia się po całym świecie owego polskiego oddziału, który chciał być Legionem Świętym w walce Europy o wolność, wówczas żegną Mazzini odjeżdżających piękny i silny artykułem w geneńskiej „L'Europe centrale” z dnia 4 września 1834 r. p.t. „Ils sont partis”. Musiał z tymi ludźmi być zżyty, musiał w ich gronie mieć niejednego przyjaciela, bo żegna ich serdecznie, obrazowo kreśli stary i nowy świat, a na czele nowego ruchu pielgrzymstwa polskiego, którego przesładają studzy katów, a prowadzi anioł-straż wygnaność. Sam Mazzini zostaje aż do r. 1837 w Szwajcarii. Ścigany przez policję, ukrywa się kolejno w Lozannie, Bernie i Bienne, w Solurze, Grenchen i Langenau. Całymi tygodniami nie opuszcza mieszkania. Wtedy to zapoznaje się z historią i literaturą polską. Czytuje pilnie poświęcone sprawie polskiej, a wydane w Paryżu pismo „Le Polonais” i poznaje niemal wszystko, co tłumaczono wówczas z polskiego. W r. 1836 nosi się z zamiarem wydawnia „Bibliothèque du Proscrit”, w której chciałby umieszczać przedruki dzieł pisarzy wolności. Pisząc o tym projekcie, który z braku funduszy nie wszedł w życie, wymienia: z literatury niemieckiej Boernego, z włoskiej — Silvia Pellico, a z polskiej — Mochackiego, Semenię, Czyżńskiego i przede wszystkim Adama Mickiewicza. Mickiewicza uważał Mazzini za największego poetę epoki i za wielce ideału poetę narodowego. Stawiał go ponad Goethego i Byrona, dzieła jego znał i cytował częściej.

W jednym z ówczesnych listów do matki przesyła jej tłumaczenie prozą wiersza „Do matki Polki”. Wiodące utwór ten wywarł na nim wielkie wrażenie, bo wyraża życzenie, by patriotki włoskie, zagrzewające synów do miłości ojczyzny, przemawiały do nich stowami wiersza mickiewiczowskiego. Równocześnie obiecuje matce przetłumaczyć „Księgi Pielgrzymstwa” i dodaje, że, choć nie zna Mickiewicza, kocha go za to, że przynosi pociechę, ufność i wiarę, i że jest poetą prawdziwie religijnym.

Pod wpływem „Księg Pielgrzymstwa” Mickiewicza i „Paroles d'un croyant” Lamenais'ego powstało dzieło Mazzinięgo „Foi et Avenir”. — Zbliżone do nich stylem i siłą paroli, łączy „Foi et Avenir” religię ze sprawą wolności, daje hasło do czynu, do walki wspólnej o wolność ludów. Głosi, iż jak w wieku marazmu i trującego rozkładu podniósł Chrystus ludzkość hasłem: wolność poświęcenie, braterstwo, tak z obecnego upadku podnieśnie ludu odziew młodych: Bóg i ideał. Pogłębia tu Mazzini dawne swe idee, przeciwstawia francuskiemu racjonalizmowi uczuciowość i religijność, rozwija swą teorię obowiązku.

W pracach konspiratorskich i agitacji w Szwajcarii stoją przy Mazziniem Dybowski i Stolzmann. Pomaga im J. Lelewel, ogłaszając w piśmie Młodej Szwajcarii „La jeune Suisse” swój artykuł „Légitimité de la nation polonaise”. W pracach Młodej Europy nie szło Mazziniemu o rezultat natychmiastowy, lecz o rzucenie ziarn na przyszłość i właśnie jako wskazywanie na przyszłość miało walor entuzjastyczny. W wyrażeniu Mazzinięgo w liście do Lelewela pod wrażeniem napisanego niedawno Aktu Braterstwa Młodej Europy, oraz, iż „odtąd nie postrącajmy krzyżów, które nawiązaliśmy między Polską a Włochami, — pierwszą kwestią powstanie z upadku, przyjdzie z pomocą drugiej i wówczas z naszego przyrzeczenia proskrybowanych zrodzi się przyrzecze pomyślnie z południem. Wkrótce zapomną o dacie związku, któryśmy zawarli, stabi i prześladowani, ale skutki jego pozostaną, i to nam starczy”.

Nadzieje, że Młoda Europa potrafi wywołać ruch rewolucyjny, zawiodły. Młoda Polska przestała działać pod koniec r. 1836. Złożyło się na to: rozproszenie ogniska organizacyjnego w Szwajcarii, trudność skupienia się we Francji z powodu prześladowań rządu i różnic poglądów wśród członków. Niemal wszyscy Młodzi Polacy wstąpili do Konfederacji Narodu Polskiego, powstałej w r. 1836 pod prezydium gen. Józefa Dwernickiego. Organizacja ta, dążąca do zjednoczenia całej emigracji polskiej, przyjęła jako swój program zadanie przygotowania ruchu zbrojnego w Polsce. Z tego powodu zostali zażyciele Konfederacji wydalen z Francji na żądanie ambasadorów Rosji, Austrii i Prus. Udał się do Londynu i tam dnia 22 lutego 1837 r. zawarła Konfederacja Narodu Polskiego z Młodej Europą, zapewniającą jej współdziałanie obydwoh komitetów w razie ruchu zbrojnego w Polsce lub we Włoszech. Było to właściwie oddanie prac konspiracyjnych, rozpoczętych w Polsce przez Młodych Polaków, Konfederacji Narodu Polskiego, bo wobec ówczesnego rozbięcia i upadku Młodej Europy żadnego realnego znaczenia nie miało zobowiązanie się Komitetu Młodej Europy, że na wypadek powstania w Polsce odda na jego usługi swoje fundusze i prace, że wzniesi ruch rewolucyjny u sąsiadów, aby wywołać dywersję, oraz że starać się będzie o zapewnienie Polsce komunikacji przez morze. Podobne zobowiązania złożyła Konfederacja Narodu

Polskiego. Ważniejsze decyzje, a w szczególności o ruchu rewolucyjnym, obiecywano powziąć po porozumieniu się obu komitetów. Co sześć miesięcy miały komitety przysyłać sobie dokładne raporty o swych pracach. Z ramienia Konfederacji Narodu Polskiego podpisał ten iluzoryczny traktat gen. J. Dwernicki, S. Koźminski, J. Krasinski, Fr. Kirkor i A. Dunin. Upewnomoconym do pertraktacji z nimi przez Centralny Komitet Młodej Europy był Feliks Nowosielski.

Schroniwszy się w roku 1837 do Londynu ze Szwajcarii, rozpoczęła tam Mazzini nowy okres swego życia tułaczego w bardzo ciężkich warunkach. Do izby jego zagłada biegała, opanowując go spleen, przytacza i odbiera energię wieczna mgła obłężymy miasta. Takie albo jeszcze gorsze położenie było udziałem emigrantów polskich, z których wielu nie otrzymywało żółtu angielskiego i nie miało żadnego zasiłku z kraju. Wspomina więc Mazzini w swej korespondencji o wyższych oficerach byłego wojska polskiego, którzy tknęli kamienie na gościnicach angielskich, pracując jako robotnicy przy budowie kolei żelaznej, a mimo to przymierzając nieraz głodem. Żyje w przyjaźni ze Stolzmannem, Daraszem, Czapskim, Dybowskim i Worcellem; za pośrednictwem Polaków nawiązuje na życzenie Lelewela stosunki z Cavaignacem.

Do głębi wzruszyła go wiadomość o rozstrzelaniu Szymona Konarskiego w Wilnie. Opisuje swę matkę bohaterską śmierć Konarskiego, dodawał, że pani Konarska zagrzewała do odwagi syna, idącego na szafot, i prosił swą matkę, by brała z niej przykład, cokolwiekby go spotkał miało.

W rocznicę śmierci Konarskiego, powstała 29 listopada, i w czasie obchodów na cześć rewolucjonistów rosyjskich Pestla, Rylewaja, Bestużewa i Kachowskiego, rozstrzelanych w r. 1826, urządził emigrant polscy uroczyste zebrania w Londynie. Przypominały one, jak pisał Mazzini, wieść Babel, bo przemawiano tam po angielsku, po francusku i po polsku, po niemieku i po włosku. W pięknych swych przemowach podkreślał Mazzini wspólność dążeń narodowych w imię hasła powstania polskiego. „Za waszą i naszą wolność”, podnosił, iż uciśnionych bohaterów wolności można tylko przez wspólne, energiczne działanie, a stwierdzając wzrost demokracji, nawoływał do wspólnej pracy, do stworzenia wspólnej organizacji „z Bogiem u szczytu, ludem u podstaw i ideą postępu między nimi”.

W korespondencji Mazzinięgo z tych czasów znajdujemy echo wizyty cara Mikołaja w Londynie. W czasie pobytu jego w stolicy Wielkiej Brytanii odbył się olbrzymi meeting na rzecz Polski; lud, wśród którego kursowały idee polskie i karykatury z angielskich pism satyrycznych, witał samowadkę rosyjskiego szermierem, a wreszcie przyszła sprawa bału, zorganizowanego przez londyńskie Towarzystwo Literackie Przyjaciół Polski. Car ofiarował komitetowi balowemu składkę, lecz panie angielskie, zajmujące się urządzeniem bału, składiły tej nie przyjęły. Z powodu tego hału „dano mu z największego miejsca znak żeć woli, bo gdy lord Wilton zaprosił monarchów na 10 czerwca, polecił mu królowa zmienić dzień, gdyż ten przeznaczony cały na bal polski. Bal ten był tak liczny i arystokratyczny jak nigdy” (List Czapskiego do F. Delhassego z Londynu z 18 czerwca 1844 r.). Kiedy więc w nocy z 9 na 10 czerwca opuścił Mikołaj I stolicę Anglii, kursował w Londynie o nagłym wyjeździe carskim dwuznacznie, powtarzając przez ówczesne pisma: „he left England so soon, because he does not like Polish balls”.

Z przyjazdem cara do Londynu łączyła się głośna nawałnica sprawa spiskówstwa pocztowego. Mianowicie na polecenie ministra Grahama otwierano na pocztę korespondencję Mazzinięgo, Worcella, Stolzmana i ks. A. Czarotyskiego. Sprawa ta wywołała burzliwe rozprawy w parlamencie angielskim. W obronie wychodzących, a przeciw temu, że ustępy z tych listów komunikowano ambasadorowi rosyjskiemu w Londynie, przemawiali prócz innych członkowie parlamentu: Duncombe, Bowring i Carlyle. Komitet Zjednoczenia Emigracji Polskiej wysłał Duncombe'owi podziękowanie za obronę Polaków, a ponieważ wiadziiano, jak umie Mazzini, mający już wówczas poważne stanowisko w dziennikarstwie londyńskim, „trafić do gustu i przekonać angielskich”, uproszono go, by zredagował to pismo.

W r. 1838 wydawał w Londynie J. Dybowski „The Polish Monthly Magazine”. Pisząc o znanych, krytykował Mazzini kierunek materialistyczny i brak idei religijnych w artykułach programowych tego pisma, uważał jednak, że należy je popierać i zachęcać do tego przyjaciela swego, J. Gigliolięgo. A gdy artykuł o literaturze polskiej pisał Łwa Sawaszkiewicz, ogłoszony w pierwszym numerze tego magazynu, wywołał polemikę w „The Foreign Quarterly Review”, umieścił Mazzini w drugim numerze „The Polish Magazine” artykuł o Mickiewicz, jedno z najciekawszych studiów, jakie o autorze „Pana Tadeusza” napisano.

# MAZZINI A EMIGRACJA POLSKA\*)

O tym, że autorem artykułu był Mazzini, pisał St. Worcell do Mickiewicza 7 listopada 1838 r. Świadectwo Worcella jest tym ważniejszym dokumentem, że był on jednym z najniższych przyjaćli Mazzinięgo, a oprócz tego stał blisko tych osób, które wydawały „The Polish Magazine”. We wspomnianym liście pisze Worcell: „pozwoili mi wydawcy „Monthly Magazine” tutejszego napisać do niego artykuł o Twoim „Tadeuszu”... Pierwszy o Tobie artykuł napisał w drugim numerze „Monthly Magazine” Mazzini. Mógł być Tośa a nim jakie wydawał się małym i nieśwadośnie nie byłbym jak karzeż zajął tego między dwoma olbrzymami miejsca, gdyby pisanie tego artykułu było dla mnie rzeczą próżnością, nie serca”... Dodaje wreszcie, że w przeciwnieństwie do Mazzinięgo rozumie i podziela myśl i wiarę religijną Mickiewicza.

Do artykułu o Mickiewicz przynajmniej też sam Mazzini w liście do wspólnej znajomej swojej i Mickiewicza, pani Mandrot z Lozany. Zapewne czytała p. Mandrot ów artykuł i pisała o nim Mazziniemu, bo oto jak jej odpisuje w liście z 2 września 1839 r.: „Co do kart o Mickiewicz, nie zastępuję na no to, by o nich mówić. Powiedziałem tam jednak w kilku wierszach, co Pani i ja o nim sądzimy. Podziwiam tego człowieka i nie znam w tej chwili poety w Europie, któryby się wznosił tak wysoko jak on. Lecz droga jego (le poète précurseur), a jest tylko poeta wielkich ruin. Przyszłość nie rozpocznie się ani od niego, ani od szkoły katolickiej.”

Przeciw autostwmu Mazzinięgo, nie przesądając bynajmniej tej sprawy, przytacza p. Władysław Mickiewicz w swym dziele o Adamie Mickiewicz argument, że „recenzent przemawia w nim ze stanowiska tak polskiego, że niepodobna wątpić o jego narodowości”, jednakże Mazzini, pisując do pisma „Jeune Suisse”, przemawiał częstokroć jako Szwajcar. A najsilniejszym argumentem za autostwem Mazzinięgo jest treść artykułu i idee o Polsce, jakie tam rzucił.

Podkreśla Mazzini charakter narodowy poezji Mickiewicza, jej pierwsiastki ludowe, siłę twórczą poety, ton walki o wolność i zmagania się ze sobą samym. Mickiewicz jest nie tylko poeta, ale i prorokiem: jak poeta Izraela oddaje w swych utworach ból i nadzieję narodu. Polska, zdaniem Mazzinięgo, świadczy o nieśwadośnie, spełnia swą misję obrony Europy przed Muzumtanami. Po odcięciu Wiednia kasta, rządząca w Polsce, zaniadbała spełnienia nowych obowiązków, ciążących na Polsce i decydujących o jej istnieniu. Tą nową misją Polski jest organizowanie narodów stowiańskich oraz wykonanie idei społecznej przez zjednoczenie wszystkich klas narodu i zapewnienie im wolności obywatelskiej. Zadania te narodu polskiego wymagały nowej literatury i właśnie Mickiewicz jest jej założycielem. Tak samo jak w liście do p. Mandrot, nie zgadza się Mazzini z Mickiewiczem w jego poglądach katolickich, ale zaznacza równocześnie, że przekonania te szanuje. Rozwinięta w artykule teoria obowiązku, postępu i misji ludu i ludów świadczy, że autorem artykułu był Mazzini. Jak zwykłe w swych artykułach literackich porównuje Mazzini owianą poezję z Biblią, Byronem, Shakespearem i Goethem.

Tymczasem wysiłki Konfederacji Narodu Polskiego, by zjednoczyć emigrację polską, nie udały się. Organizacja ta nie wyszła poza okres formowania się, a w r. 1833 upadła zupełnie. Wówczas wzywa Mazzini Lelewela, by, oparty na wielkiej swej popularności, zreorganizował Młodą Polskę, zmieniał postać, objął w niej dyktando i nawiązał ścisłe stosunki z odnawianymi równocześnie Młodymi Włochami. Wezwanie to odniosło tylko częściowy skutek. Młoda Polska nie odżyła, ale powstała nowa organizacja, Zjednoczenie Emigracji Polskiej, która skupiła od razu znaczną część emigracji polskiej. Do Komitetu Zjednoczenia wybrani zostali byli Młodzi Polacy: J. Lelewel, Zwierkowski i Worcell oraz J. B. Ostrowski. Ponieważ przy dużych zdolnościach pisarskich był to charakter marny i człowiek niepewny, oświadczył Lelewel, Zwierkowski i Worcell, że razem z nim w Komitecie zasiadać nie będą i utworzyli Komitet niegłoszący. Oczywiście, tak zajadły polemista, jakim był Ostrowski, nie myślał pozwolić na usunięcie swej osoby bez protestu i rozpoczął w piśmie „Nowa Polska” pełną inwektyw kampanię przeciw Lelewelowi, Zwierkowskiemu i Worcellowi, przeciw Młodej Polsce i „intrygom” Mazzinięgo, które, jak głosił, spowodowały bezprawne usunięcie go z Komitetu. Nowa Polska pociągnęła za sobą niektórych członków Zjednoczenia Emigracji Polskiej, w tym gminy w Clermont-Ferrand, Montpellier i Lille. W obronie Komitetu i Mazzinięgo stanęli przyjaciele jego, Oborski, Gleinich, Dybowski i Worcell, wreszcie sam Mazzini odpowiedział na zarzuty w jasnej republice, ogłoszonej 31 sierpnia 1842 r. w piśmie brukselskim „Orzel Biały”. Wpływ swój na przyjaciół politycznych określa jako przyjaźni i wspólność przekonań, zaprzeczając jednak istnienia jakichkolwiek intryg czy namów w sprawach polskich. Zawiadamia też, że obecnie Młoda Polska nie działa.

Jednakże, ponieważ Młodzi Polacy objęli w

Zjednoczeniu rolę kierowniczą, weszła organizacja ta w ścisły kontakt z Mazziniem. Współpraca występuje najsilniej w r. 1844/5, równocześnie z atakami braci Bandiera na Kabilę i przygotowaniami do ruchu rewolucyjnego we Włoszech. Zjednoczenie wysyła jako emisariuszów do Galicji Adolfa Zaleskiego i Czesława Pieniążka. O organizacji Zjednoczenia w Polsce pisze w tym czasie Zwierkowski do Lelewela: „że dwa kółka w Krakowskim i w Sandomierskim odkryto, w Kaliskim przezwano się, lecz nie odkryto dalej”, a Mazzini donosi N. Fabrizziemu o przygotowaniach w Wielkim Księstwie Poznańskim i w Galicji, i podkreślając znaczenie agitacji w Polsce wobec liczby Polaków, ich przyniósłom organizacyjnych i faktu, że wojsko austriackie, szczególnie artyleria, rekrutuje się w przeważnej części ze Słowian, wyraża pewność w artykule „Piano per un moto insurrezionale in Italia”, iż rewolucja we Włoszech wywoła wybuch w Polsce.

Informowany przez obóz demokratów polskich, występuje przeciw grupie ks. Czarotyskiego i jej organizacji. W ciekawym artykule, ogłoszonym w r. 1843 w piśmie „Apostolato popolare” a przedrukowanym w „Orle Białym” p. t. „Słów parę nad ostatnimi w państwie papieskim wypadkami”, przeprowadza Mazzini nie bez pewnych podstaw paralele między polityką Austrii wobec Czarotyskich a polityką rosyjską wobec Leuchtenbergów. Podobnie jak Rosja grozi Austrii, że poprze aspiracje ks. Leuchtenberga, syna Eugeniusza Beauharnais, na króla Włoch, tak samo grozi Austrii Rosja ks. Adamem Czarotyskim. Ale jest to tylko gra dyplomatyczna: w chwili porozumienia się dworów rosyjskiego i austriackiego staną się Czarotyscy i Leuchtenbergowie przedmiotem uwarogawki, albo zawiąsna na szubienicy, jeżeli się posuną zbyt daleko.

Na wiadomość o klęskach rewolucyjnego ruchu polskiego w r. 1846 w Galicji i W. Ks. Poznańskim zajmuje się Mazzini zbieraniem funduszy na sprawę polską i bierze udział w meetingu, urządzonym w Londynie na znak protestu przeciw Austrii. Celem poruszenia i skoordynowania ruchów demokratycznych zamierza w tym czasie zwieść do Londynu kongres demokratów europejskich, zaprasza nań Lelewela i stara się zbić jego uprzedzenia co do Lemennais'ego. Mimo że kongres ten się nie udał, nie ustawał Mazzini w zabiegach koło stworzenia organizacji międzynarodowej i starał się wciągnąć Lelewela do prac londyńskiej „International League”, której zadaniem była obrona wolności narodów.

Dopiero wielkie wstrząśnienie w r. 1848 spowodowało poznanie się Mickiewicza z Mazziniem. Mickiewicz uważał, iż ognisko spraw rewolucyjnych jest w owej chwili we Włoszech, zorganizował w Rzymie legion polski ku pomocy Włochom, walczącym o zjednoczenie, i udał się z nim w tryumfalnym pochodzie do Mediolanu. Bawił tam wówczas Mazzini. Między dwoma mężczyznami, choć podziwiali się szczerze, był szereg spraw, które ich rozdzielały. A więc odmienne przekonania religijne: (u katolików, dające się pogodzić z kościołem katolickim, u Mazzinięgo kościołami rzymskiemu wprost wróg); niezrozumienie nauk Tomasięskiego przez Mazzinięgo i jego stosunek do ks. Czarotyskiego, Terak, który kierowną jedną myślą, Mickiewicz, dążąc do Mediolanu, bierze listy polecające do Mazzinięgo od finansisty florenckiego Antoniego Bo. Mazzini — od pani Mandrot. Aby się porozumieli, nie trzeba im było jednak tych pism, bo, jak pisał Mazzini do Mickiewicza, prosząc o oznaczenie godziny spotkania się, łączyła ich wspólność „dążeń, nadziei i wiary w religijną krucjatę ludzkości i ojczyzny”. Łączył ich prócz tego symbol polityczny, jaki przyjął dla Legionu Adam Mickiewicz. Na ton i ujęcie symbolu wpłynęły zdaje się „Punkta Wiary Młodej Europy”, ogłoszone w październiku 1834 r. Z drugiej strony uważał Mazzini, że „gdąby z Legionu Polskiego w r. 1848 nie wyszło, starczyłyby to do jego chwale”. Poznał się w kwietniu 1848 r. i, jak świadczy ich dalsze współdziałanie, doszli niewątpliwie do zupełnego zrozumienia się. Kiedy bowiem Mickiewicz, nie mogąc dojść do końca w sprawie Legionu z rządem piemontekim, starał się nawiązać stosunki z Wenecją, popartą go Mazzini w listach do Tommaso, następnie, po wyjeździe Mickiewicza, opiekował się Mazzini Legionem, który przed wyruszeniem na plac boju pozostał w Mediolanie pod komendą plk. Kamińskiego. Mickiewicz zaś, przedkładając w miesiąc później królowi Karolowi Albertowi projekt dekretu, dotyczącego Legionu polskiego, przemawiał do króla według myśli Mazzinięgo, zachęcał go do ruszenia przeciw Austrii z całym wojskiem i starał się rozproszyć obawy króla o rewolucjonistów. A kiedy poeta wrócił do Francji i objął tam redakcję „Tribune des Peuples”, po świecił cały szereg artykułów obronę sprawy włoskiej. Występował wreszcie wpływem arystokracji, Joinville'a i gen. Ramoriny w wojsku Karola Alberta, przeciw dyplomacji reakcyjnej i państwu papieskiemu.

W artykule z 16 marca 1849 r. p. t. „Mazzini — Les Mazziniani” bierze Mickiewicz w obronę działanie wielkiego agitatora Włoch w wojnie r. 1848 przeciw Austrii, a 11 kwietnia tegoż roku serdecznie wita odnowienie przez Mazzinięgo w Rzymie pismo „L'Italia del Popolo”.

Z drugim oddziałem ochotników polskich we Włoszech pod dowództwem A. Fijałkowskiego spotkał się Mazzini jako członek triumwiratu Rzeczypospolitej Rzymskiej. Oddział ten walczył po stronie rewolucjonistów w Genui, a następnie w sile około 250 ludzi na podstawie umowy z triumwiratem wszedł w służbę Rzymu, zbuntowanego przeciw świeckiej władzy papieża. Układ o Legion polski, podpisany przez K. Armelliniego, Mazzinięgo i A. Saffiego dnia 29 maja 1849, powstał pod wpływem i zgodnie z ideami Mazzinięgo. W imię wspólnej sprawy narodów i ich praw do życia i swobody, zwązywśmy, że Polska jest siostrą Italii, „et sacre entre toutes les nations”, zwązywśmy, że emigranci są przedstawicielami przyszłej Polski, postanawiał triumwirat utworzyć Legion Polski, mundur, komendę i sztandar polski z kokardą włoską, żółtą i prawo do zasięgu na równi z obywatelami rzymskimi. Rzeczpospolita Rzymska zobowiązywała się ponieść wszystkie koszty utrzymania i transportu Legionu, Słowianie, zgłaszający się do jej służby, mieli być wcielani do tej formacji. W razie wojny o niepodległość Polski i możliwość szluzenia jej, miała Legia swobodę opuszczenia terytorium Włoch, uprzedzając rząd Rzeczypospolitej. Od 1 czerwca 1849 r. aż do upadku Rzymu walczył Legion polski u boku rewolucjonistów włoskich przeciw wojskom francuskim, broniącym pod wodzą gen. Oudineta władzy papieskiej, oznaczył się w czasie obrony Porta del Popolo i w ataku na bagnety koło Monte Moro zostawił w Rzymie zabitych i rannych.

We ówczesnych listach do Ludwika Mirosławskiego, generała dywizji i tymczasowego szefa sztabu rewolucji sycylijskiej, rozwijał Mazzini dwa główne plany swoje: wojny z Austrią, która miała przynieść niepodległość, i konstytuancy, któryby sprowadziła zjednoczenie Włoch. Przestrzegał równocześnie przed arystokracją Sycylii i wzywał narozno do zgody z inspektorem armii powstańczej, Antonimem.

Tymczasem zaszyły zmiany w emigracji polskiej. Zjednoczenie Emigracji rozwiązało się w r. 1846, a członkowie jego wstąpili z mąłymi wyjątkami do Towarzystwa Demokratycznego Polaków. Centralizacja Towarzystwa Demokratycznego przeniosła się z powodu prześladowań we Francji do Londynu i tam weszła w skład Komitetu Demokracji Europejskiej, który powstał w r. 1850 dzięki zabiegom Mazzinięgo. Jako przedstawiciel Towarzystwa Demokratycznego Polskiego wszedł do Komitetu Demokracji Europejskiej W. Darasz, po jego śmierci w r. 1852 — St. Worcell. Liczne odzewy Komitetu tego między r. 1850 a 1859 rozwijały idee przewodnie organizacji. Treść ich i forma dowodzą, że autorem tych odzew był Mazzini. Celem Komitetu Demokracji Europejskiej jest według tych publikacji zorganizowanie narodowych sił rewolucyjnych i wzajemna pomoc w walce o wolność. Środkiem, prowadzącym do tego celu, jest oświecenie bezpłatne i obowiązkowe, wolność druku, stowarzyszeń i wyznań, zaprowadzenie jednolitego poddaństwa europejskiego i głosowanie powszechne i bezpośrednie. Występuje autor odzewów przeciw anarchii, głosząc, że „rodzina, ojczyzna, wyznawanie, wolność, praca i własność są to żywioły stowarzyszenia”. Z równą siłą zwałca równocześnie Mazzini kosmopolityzm, uważając, że punktem oparcia w dążeniu jednostki do celów ogólnoludzkich, pierścieniem między indywidualum a ludzkością musi być naród. Zostawiając komitetom narodowym swobodę w urządzaniu się i ruchach wewnętrznych, przyjmowali Komitet Demokracji jako zasadę wspólną wszachwzdaładow ludu i przyszły ustroj republikański. Członkami komitetu byli: Ledru Rollin, Mazzini, A. Ruge, b. poseł na sejm frankfurcki, i W. Darasz; później wstąpili doń K. D. Bratlaro, jako przedstawiciel Rumunii, i L. Kossuth z ramienia rewolucyjnych Węgier. Odosyłał do Polaków nawoływały do przygotowania czynu zbrojnego i do spełnienia misji Polska, którą według Mazzinięgo nie, w przeciwstawieniu do państwa, federacja Słowian. W odczynie do wojsk Rosji, Austrii i Prus wzywał Komitet do oporu despotyzmu, do zbignięcia i propagandy republikańskiej.

Mazzini był i tu duszą organizacji. Głosił ufność i braterstwo mimo „ubóstwa, zawołów, zdrad i kłótni”, mimo „wszystkich gorczych długiego wygnania, „wszystkich kłótni, przemagającego materializmu i obojętności”, zagrzewał do wiary i stałości, bo przecież przylgnął wychodził do idei wielkich, „do rzeczy niemiernielynych: Boga, obowiązku, wolności, poświęcenia i niemiernielynego postępowej ludzkości”. Przysyłał ją te słowa emigracji polskiej w Londynie, obchodzącej rocznicę rewolucji lipcowej, chciałby, by dzieł ten odnowił przyrzeczenie między Włochami a Polską w myśl hasła Młodych Włoch „tam i zawsze Polska i Włochy siostrami i siostrami w cierpieniu, w celu i w walce, która ma go osiągnąć”.



i obliczone na wrażenie u rządów ówczesnych było twierdzenie, powtarzane przy każdej niemal sposobności w notach rosyjskich na konferencjach ks. Gorczakowa, że powstanie jest rezultatem spisku, uknutego i zorganizowanego zagranicą, dziełem londyńskiego Komitetu Rewolucyjnego i Mazziniego. Wręcz przeciwnie, Mazzini orientował się, iż europejskie stronnictwa, rozbite i słabe, nie będą mogły przyjąć Polsce z pomocą, i dlatego uważał wybuch powstania za przedwczesny.

Ale kiedy powstanie wybuchło, pracował nad poruszeniem sprawy polskiej wśród Anglików, zajmował się organizowaniem wielkich zgromadzeń ludowych, urządzanych w Anglii za Polską, pomagał przy wynajęciu statku, który miał przewieźć broń dla powstania, brał udział w zabiegach angielskiej Ligi dla Niepodległości Polski, a przede wszystkim oddał na usługi powstania swój talent agitatora wolności.

W odezwie, ogłoszonej 26 lutego 1863 r. w „Il Dovere“, zaklina Włochów na wszystko, co im drogie i święte, by szli z pomocą Polsce. Ale ważniejsze, zdaniem jego, niż broń i pomoc pieniężna jest dla Polski rozszerzenie ruchu rewolucyjnego. Atak na Wenecję i równocześnie rewolucja na Węgrzech i w Serbii — oto zbawienie Polski: „Venezia, Belgrado, Pest; là sta la salute della Polonia; là sta il dovere d'Italia“. Powtarza to, wzywając do składek na rzecz Polski, a w odezwie z grudnia 1863 r. do demokratów belgijskich nawołuje do demokracji europejskiej, by postawiła rządowi ultimatum: „pomoc Polsce lub rewolucja w kraju“. Broni też powstania przed zarzutem, że rządy w nim objęli arystokraci, dowodząc, że gdyby demokracja europejska udzieliła była Polsce pomocy, Polska byłaby po jej stronie.

Występując w ten sposób na zewnątrz, stara się równocześnie skierować powstanie polskie na drogę rewolucyjną i nie szczędzi mu rad. W pismach do Rządu Narodowego i Ludwika Mierosławskiego, Generalnego Organizatora Polskich sił zbrojnych za granicami Królestwa Polskiego, rozłącza Mazzini swoje rady i plany. Powinien więc Rząd Narodowy podnieść sztandar rewolucji europejskiej, wezwać wszystkie ludy pobite do walki w obronie narodowości i demokracji, usunąć swych przedstawicieli zagranicą, którzy należą do obozu arystokratycznego, a przede wszystkim rozszerzyć powstanie na Galicję.

Ruch w Galicji wywoła, zdaniem Mazziniego, rewolucję na Węgrzech i będzie gwarancją dla demokracji europejskiej, która pomoże Polsce, jeżeli będzie przekonana, iż liczyć może na Rząd powstańczy. Powinien dążyć Rząd Narodowy do wywołania ruchu na Węgrzech i w Serbii. Atak włoski na Austrię zapowiedział Mazzini na najbliższą przyszłość. Stanowisko Rządu Narodowego wobec tych rad Mazziniego musiało być bardzo sceptyczne. Tym bardziej że zapowiadany przez Mazziniego na wiosnę 1864 r. atak włoski przeciw Austrii nie nadchodził. Usunięcie arystokracji od powstania osłabiłoby jego siły, a sił tych brakło na intensywniejsze prowadzenie walki przeciw Rosji, co dopiero na wystąpienie przeciw Austrii i Prusom, albo wywołanie rewolucji na Węgrzech, we Włoszech, czy na Wschodzie!

Szko Polsce o to, by pomoc otrzymać i by pomoc ta była możliwie wydatna, skądkolwiek przyszła. Ponieważ nadzieje na rewolucjonistów zawiodły w chwili wybuchu powstania, a natomiast w sierpniu 1863 r. otwierała się możliwość interwencji Francji, Anglii i Austrii na rzecz Polski, starał się Rząd Narodowy sprowadzić do wmięszania się mocarstw w sprawę polską, odkładając porozumienie z rewolucjonistami na wypadek, gdyby tamte rachuby zawiodły. Dopiero kiedy nadzieje te się rozwiały i Austria wystąpiła wyrażnie przeciw powstaniu, zaprowadzając stan oblężenia w Galicji, wówczas skłonił się Rząd Narodowy do planów swego agenta w Turynie, Józefa Ordegi, i zawarł umowę z gen. J. Klapką, występującym w imieniu Komitetu Narodowego Węgier, i z Garibaldim, jako przedstawicielem demokracji włoskiej. Preliminaria konwencji z Garibaldim omówiono w czasie jego pobytu w Londynie, polpisano umowę dnia 6 czerwca 1864 r.

Pod hasłem solidarności ludów w obronie wolności zobowiązały się Włochy i Polska do wspólnej akcji, za punkt najważniejszy ataku obierając Austrię, stosownie do życzeń włoskich. Do działania miano przystąpić w przeciągu dwóch miesięcy od dnia podpisania konwencji.

Mazzini przyczynił się do zawarcia owej umowy. Traktował też z Wiktorem Emanuelem w sprawie akcji Garibaldiego na czele ochotników włoskich w Galicji. Żywa sympatia narodu włoskiego dla powstania styczniowego, komitety polskie i zbieranie funduszy

na poparcie powstania — było to w dużej mierze dzieło Mazziniego i oddanego mu stronnictwa czynu. Oni zwolują owe olbrzymie zgromadzenia ludowe w sprawie polskiej, ich mowy wywołują dyskusje polskie w parlamencie turyńskim, z ich ramienia stawia deputowany Ferrario wniosek dnia 27 marca 1863 r., by parlament uznał sprawę polską za świętą i aby zażądał nowego ministertwa, którego zadaniem miała być pomoc Polsce przez wywołanie rewolucji w Wenecji. Ale włoska partia ruchu patrzyła na sprawę Polski przez pryzmat interesów włoskich i chciała mimo woli Polski skierować powstanie przeciw Austrii, by wówczas zaatakować monarchię habsburską i odebrać jej Wenecję. Bez wątpliwości mieli Włosi najczystsze intencje i najszerokie chęci. Ale stosownie do programu Mazziniego chcieli pomóc Polsce przez powiększenie terenu rewolucji. Myśleli kategoriami r. 1848 i 1849, a tymczasem był to r. 1863 i 1864, i pomysły te nie dały się zrealizować. Powstanie polskie gasło, a obiecany wspólny atak przeciw Austrii nie nadchodził. Wykonanie umowy z Garibaldim podjęło się z Emigracji Polskiej Ognisko Rewolucyjne Polskie, gałąź Europejskiego Komitetu Rewolucyjnego. Zebrało ono ochotników polskich w Turynie i mianowało ich wodzem płk. Borzysławskiego. Ale akcja przeciw Wenecji, przygotowywana na jesień 1864 r., spała na niczym. Ujawnił ją przed czasem dziennik „Il Diritto“, wówczas rząd włoski wyparł się wszystkiego, broń zabrano, kadry rozproszono. Bulewski, pełnomocnik Ogniska, musiał Włochy opuścić.

Po upadku powstania nie traci Mazzini nadziei dla Polski, radzi jej gotować się do nowej walki zbrojnej, rozwijać program „prawdziwie narodowy“ i wezwać lud wiejski do współdziałania w dziele odrodzenia. Sprawiedliwości, jak pisze w drugiej rocznicy powstania styczniowego, musi się stać zadość, Polska powstać musi, bo „cięży na sercu Europy czarna plama zbrodni, zbrodni kainowej, jakąkolwiek nazwą roztrzęsienia czy nieinterwencji podoba jej się pokrywać, która nie da się zmyć, dopóki Polska nie stanie napowrót zjednoczoną, wielką i wolną“.

Stojąc na czele Rewolucyjnego Komitetu Europejskiego, zawiera Mazzini układ z Ogniskiem Republikańskim Polskim w Genewie, w którym rozwijał gen. Hauke-Bosak swoje marzenia o przyszłym ustroju Rzeczypospoli-

tej Polskiej. W bliższym stosunku niż z Bosakiem był Mazzini z Ludwikiem Bulewskim i jemu też powierzył w r. 1866 misję do Stanów Zjednoczonych, która miała na celu poparcie w Ameryce europejskiej propagandy republikańskiej i agitację przeciw polityce meksykańskiej Napoleona III. W innej misji, o charakterze raczej informacyjnym, wysłał równocześnie Mazzini gen. M. Langiewicza do Turcji, udzielając mu z Rewolucyjnego Komitetu Europejskiego funduszy na kosztą podróży. Polskie Ognisko Republikańskie nie miało jednak wielkiego znaczenia, ni wpływu. Hauke wystąpił z niego w r. 1868, nie mogąc dojść do zgody z Bulewskim. Langiewicza wykluczono w r. 1867 za to, że w liście otwartym potępił zamach paryski Berezowskiego na cara, a miał wówczas Langiewicz rację, pisząc do Platara, że o istnieniu Ogniska i jego działalności dowiedział się dopiero z listu, wykluczającego go.

Przychylny stosunek emigracji polskiej do Turcji, utworzonej w Konstantynopolu Polskie Biuro Korespondencyjne z T. Okszą-Orzechowskim i W. Przybylewskim na czele na usługi Turcji a przeciw Rosji, oraz ugoda, zawarta między Wł. Platerem i Langiewiczem z jednej a Młodymi Turkami z drugiej strony, zdążająca do popierania i reorganizacji Turcji, wywołały list otwarty Mazziniego, w którym wzywał Polaków, by nie szli wbrew dawnej misji Polski, walki z islamizmem, by nie występowali przeciw słowiańskim narodom Bałkanu, dążącym do wolności i niepodległości, by stanęli na czele ruchu słowiańskiego z hasłem Rzeczypospolitej zamiast rosyjskiego panslawizmu.

Jak w r. 1863, rady te były nierealne, ale jak zawsze troska Mazziniego o Polskę była żywa, miłość ku niej gorąca. Sprawę polską porusza niemal w każdym artykule politycznym. Na rok przed śmiercią, w artykule z r. 1871 p. t. „Politica Internazionale“, mówiąc o Polsce i jej misji, rzuca myśl przymierza Włoch ze Słowianami i plan federacji Słowian, która byłaby zabezpieczeniem Niemiec przed przewagą Rosji oraz obroną dla Francji i Włoch przed naporem Niemiec.

Hasło przymierza ludów, które głosiła Młoda Europa, przyrzeczeniu, złożonemu u łoża umierającego przyjaciela, że nigdy nie odłączy sprawy polskiej od włoskiej, pozostał Mazzini wierny aż do zgonu.

Adam Lewak

O góry, nasze góry! O lesisty Beskidzie Wschodni! Pełne szerokich łąk Gorce, kamieniste szczyty Gorganów, żywiczna Czarnohora! Pną się po waszych zboczach maliny z jeżynami, strzelają wysmukłością przedziwną świerki i jodły, królują rozłożystością buki omszone. Na samych szczytach wyrzewają się pokoniny, a niżej idą lasy, lasy, lasy — całe ich morze. Z bliska zielone, granatowiejące dalej — płynące ku Czywczynowi zwartą falą, aby w wielkiej dali krańców widnokręgu, w Alpach Rodniańskich, błękitnieć tylko.

Przeźrzenie szerokie, szmaragdowe, jedyne, najdroższe. Brać mógł z was, góry, wszelki człowiek lek ożywczy i w krasie waszej zbyt trosk i niepokojów. Można było skąpać duszę w słońca ziołce, serce utopić w lesie macierzanek. I do wtóru pasikonikom śpiewać radośnie — dzięki Ci, Boże, że jestem, jestem, że widzę, że słyszę, że żyję, żyję, żyję.

Czy to można było naprawdę widzieć zieleni, która istotnie była wszędzie? Na najmniejszym skrawku ziemi i aż po widnokrąg? Młoda i wieczna, zaklęta w igłach drzew nawet przy bieli zimowej.

A czy prawdą być mogło, że o krok już od wierchów biła woda, zimna, dobra, kryształowa?

I czy rzeczywiście jako runo rósł w cień olbrzymów mech, jak najpiękniejszy, puszysty kobierzec?

A było to prawdziwe, że pełnymi garściami rwał mógł człek storczyki upojne na łączkach podszczytowych w ciemni śródleśnej?

Czyliż naprawdę na porębach rosły maliny, poziomki, słodkie, czerwone, zapachem nagrzane?

Czyliż naprawdę liliowe i żółte motyle polatywały nad kwiatami, same płatkom kwietnym podobne?

Czyliż naprawdę błękitnie, jak przestwór sam, turlikały dzwonki owiec na przedwiecznej w opadającym srebrze rosy?

Czyliż naprawdę?

I jakież sił starczyło, by was zostawić i pójść na tulaćkę — w jutro nieznane i kraj kamienisty?

Wrócić mi do was bodaj pamięcią i w krasie waszej ożywczej się zatopić, góry żywiczne!

\*

Miły Boże, jak to było dawno, jeśli się porówna z tym, co jest dzisiaj, a jak jest bliskie przez niezatartość wrażeń.

Wychodzimy o wczesnym ranku; tylko po tym, że niebo z różowej przechodzi w barwę błękitną, wiemy, że słońce wbiło się już nad widnokrąg. Tu, koło Zaroślaka, leży jeszcze cień. Cień, rzucany przez sąsiednie szczyty, cień od olbrzymich świerków i jodek. Rosa obfita lśni na wszystkim, zwolna okapuje z wielkich liści podbiała.

Idziemy — i poniżej nad strumyczkiem, mruczycym pod parasolami iglastych gałązek i paproci, przepisowo obłożonymi kamieniami — rozpalamy maleńki ogień. Trzeba tu gotować, bo w schronisku jeszcze wszystko spało, gdyśmy wychodzili. Spali ci, co byli, a nie

LUDMIŁA BŁOTNICKA

## FRAGMENT WYCIECZKI

wielu ich było, bo to nie sezon górski — początek czerwca dopiero. Znajdzie się czasem taki czy inny łągga, — ale ludzkich gromad nie ma na szczęście, wszystko wokół jest swoje, leśne, dzikie.

Woda potoczka jest zimna i bardzo wesoła. W krąg pachnie żywica, mchem, porostami i kosmatymi liśćmi melissy. Podwierkują sikory i jakieś inne zadowolone pierzaste istotki. Można sobie przestać myśleć, zapatrzyć się w wodę biegnącą, śmiejącą się perliście.

Jemy śniadanie, wszystko smakowicie przeszło dymem, nawet herbata, ale to nic nie szkodzi.

\*

Ruszymy, kierując się pod górę. Już przedzierają się promyki słońca na runo, jak pyłki świetlne drżą w nich płaszące maciupielkie muszki.

Otwiera się polana. Z zielonego mroku leśnego wyszedłszy, stajemy oślepieni i słońcem, i widokiem, i rosą, co wciąż jeszcze zdobi trawę. Nad fioletową czerwienią storczyków polatują zbudzona motyle.

Na prawo od nas zostaje wielka kopa Howerli. Nogi same niosą po drodze, pół ścięć, biegnącej przez lekko wznoszący się łąg. W lewo od nas zostaje stacja botaniczna. Kapiemy się w słońcu i zapachach świeżych rośnościości. Popod Pożyrzewską kierujemy się na Kozły, śpiące w Dancerzowym Kotle.

Już ścięle się pobok drogi ciemna kosówka i tu, to tam, bladym amaranthem kwiatów uśmiechają się kępki różanecznika.

W dolinie pod Kozłami przysiadamy trochę. Szemrzą, bełkocą strumyczki, wytryskujące ze źleńców i spęknięć. Nie spotykane w innych stronach Polski rośliny i kwiaty poją nas swoim zapachem. Sterczą poszarpane, ciemne, choć zielenią przetykane, Wielkie Kozły. Jesteśmy na terenie rezerwatu, więc nie sychać dzwonków owczych, ni pohukiwań pastuszych. Tylko wysoko nad nami trzepoce wielki gadożer i nawołuje jęklawie, rozgłośnie.

Po kamyczkach skacze szarobielitna pliszka. Podśpiewuje to sobie całkiem nieuczucie, inaczej niż wszystkie ptaki. Trochę urywanie, trochę nie na nutę. Już, już ma wyciągnąć pięknie, najpiękniej, ale podfrwa i nie kończy. Podskakuje, potrząsa długim ogonem i znów zaczyna. Radość jest w jej świergocie, radość w każdym ruchu. Jest nieuczona sztuki śpiewu, bo gdzie tam, łapiąc malutkie muszki, ma się czas wyksztacić. Toteż głos jej jest jeno miłym pokrzykiwaniem, popiskiwanem z uciechy. Jest jak plusk głośniejszy wody kryształowej, której uosobieniem jest ona sama. Pragnie się tu pozostać i zmieścić się w takiego latającego duszka.

Włóczędzy, co chcieliby przemienić się we wszystkie cuda, spotykane po drodze, i wszędzie zostać na zawsze, — muszą odchodzić, bo wiecznie coś jeszcze piękniejszego ich wzywa. Może najlepiej by było stać się owymi

wagantami z „Żywych kamieni“ i chodźć sobie jak świat długi i szeroki a ziemia okrągła. Pić z krynic srebrzystych — jeść kędyś po drodze u ludzi dobrych. Być ciągle wśród tego, co piękne. — Mocny Boże! inne są czasy i inni są ludzie.

Ruszymy, kierując się do Niesamowitego Jeziora pod Turkuem. Płaskowyz staje się mokry, trawa niska, kwaśna, rosną wśród niej te kwiaty, co w dolinach były w marcu i kwietniu.

Przed nami, napewno z trzysta metrów, pasie się stado bydła. — Nie samym pięknem człek, istota przyziemna, żyje. Widzę po dwóch oczach, że ci apetyt przyszedł na mleko białe i ciepłe. Właśnie na kamieniu, o parę kroków od nas, siedzi pastuch.

O świecie! Nigdy to taki pastuch górski, wyjąwszy Podhale, nie jest do ludzi, a i tam... Żyje to przez parę miesięcy letnich na pustaci, skamieni się toto, zazieleni wprost trawą i mchem jak włosem obrośnie. A już chyba nigdzie takich dżiwotworów pastuchowych nie ma, jak na Huculszczyźnie.

Tenci był okazem pierwszej wody. Pewnie od dziecka nic innego nie robił, a napasawszy się latem, zapadał potem w sen zimowy. Portki to kiedyś były portkami, ba, nawet mieć musiały piękną czerwoną barwę. Koszula — nie koszula, ale zawsze zostały rękawy z resztką wyszyc. Kapelusze musiały być piękny — jeszcze wokół dziurawej główki ujrzyć można było wianuszek piór strusich.

Pocznymy rozmowę. Oddać jej nie sposób, bo idzie kulawo — ja z polską po rusku, on ani po rusku, ani po huculsku, po prostu po swojemu. Czyż do krów i baranów mowy potrzeba?

— Daleko do jeziora?

— A eto co jest?

— No woda.

— A wo — i ręką ruch okrągły czyni, w którym się mieści i południe, i północ — słowem, zgodnie cztery strony świata, jak na widnokręgu.

— Acha.

— Daleko? — pytasz.

— Pewnie daleko, nie wim. — Zupełnie jak ów wieśniak z tych „co księżyc ukradli“. Musiał tu Makuszyński jeździć, tylko się, cwanik, nie przyznał, że stąd czerpał dowcipy.

— Mów ty z nim.

— Więc mówię: — Na południe/zajdzie?

— Bude południe, pane.

— Wasze krowy?

Gęba, szeceniasto obrośnięta, śmieje się: — Moje i nie moje, ludzkie su.

— Uhm. I mleko macie?

— Pocemu ni? Korowy jest. — I znowu

ruch ręką, tym razem na pół nieba.

— To sprzedaż.

— A jo.

— No to chodź.

— De?

— A do krów.  
— Jakich?  
— No waszych, mleka udoisz.  
— Kotore — że korowy?  
— A te, — i pokazuje stado srokate.  
— Ety korowy?  
— Głupawy jest, nie dogadasz się, chodźmy.

— Ety korowy? Eto ni korowy. Ete? Ci bykie.

— Bodaj cię diabli, — mruczysz cicho, — a gdzie masz mleko?

— Dole, domu, wo — i znów zajął pół świata ręką pokręconą i kijem, — daj zakurit, paperoskie.

Dajemy i idziemy, on coś tam mruczy i pokrzykuje dziękczynnie.

— Aleś się z nim porozumiała. Wiejski głupek.

— Zaiste, ale warto było. Czyś widział, że on miał zarost zielony, jak trawa. A na rękach...

— Bujaj, bujaj, Ludmiłko. A zamiast kapelusza rósł mu grzyb, a zamiast rąk konary, a w ogóle był jak kosodrzewina. Tylko ręce ci, że całkiem kosówką nie pachniał. Słowo powiesz, że wrócisz do niego sama i dowiesz się tak, jak od tego na Galicowej Grapie, o budowie świata.

— Przepraszam, z tamtym ty mówiłaś. Nauczyl cię: „Fcom pon wiedzieć — wodo, jak wodo, z drugiej strony je, i z hań haw cieknie, a ludzie głupi nie wiedzą, że kieby na koczach zyjom. Ot co“.

Śmiejemy się i podchodzimy do stada, pasącego się na małej falistości, właśnie tuż nad Niesamowitym Jeziorkiem. Rzeczywiście pastuch rację miał i nie miał, bo nie są to krowy, ale i nie byki — to same woły, przebywające na połoninie, by się wypaść na rzeź. O prozo!

Siadamy na brzegu, ja swoim zwyczajem ochlapuję się wodą. Jemy obiad — oczywiście bez byczego mleka. Słońce przygrzewa, robi się południe.

Do zobaczenia, jezioro, trzeba iść dalej. Otwiera się przed nami widnokrąg, wypielniony górami, co jak fale szmaragdowego morza płyną w siną dal, łącząc się w dolinie, spokojnie, ale poza tym żywego ducha.

— Wiesz, napewno nie człowiek to był...

aaaa...

— Mnie się chce spać i tobie. Może pośpiemy, i tak przed nocą zajdziemy na Popa.

Nogi się nachodziły, ramiona nadźwigały, oczy napatrzyły, a cały człowiek tak się nałżył tych gór, że jest pijany. Kładziemy się w okopie z czasów wielkiej wojny, którymi jest poryty cały grzbiet od Howerli po Popa Iwana. Pełno starych łusek, naboi i magazynków.

Uf! ludzkości, plemię Kaina!

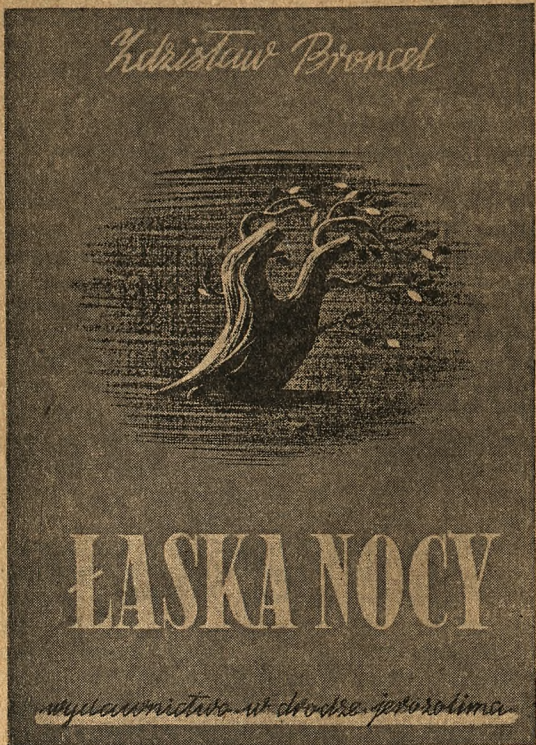
Po przepaściwej niebieskości płyną kłębiaste, strzępiaste białe chmurki. Od węgierskiej strony wieje mocny wiatr, szelesci w zeszłorocznych, zeschniętych kitach traw. Drżą odeń listki młodziutkie macierzanek. Tuż nad głową kłania się biały kwiat alpejskiego zawila. Żółtym okiem na mnie mruga, opowiada — białe — złote — złote — białe — zielone — błękitnie — paaachnie. Śpię.



# POEZJA PATOSU HISTORII

Zdzisław Broncel. *Laska nocy*. Poezje. Wydawnictwo „W Drodze”. Jerozolima, 1944. Str. 79.

Nasza literatura emigracyjna rozwija się pod znakiem poetów. Potrosze tłumaczy się to zbiegiem okoliczności: tak się złożyło, że spośród wybitnych pisarzy polskich w większej liczbie wydostali się poza granice Kraju tylko poeci. Ale te zewnętrzne okoliczności nie tłumaczą jeszcze wszystkiego. Wierszy nie tylko dużo się dziś wydaje, ale i dużo czyta: „Alarm” Słonimskiego, „Wielka podróż” Balińskiego, „Bagnet na broń” Broniewskiego wychodziły i wychodzą w więcej niż jednym wydaniu. Najwyraźniej wiersze zaspokajają dziś jakieś istotne potrzeby ludzi, którzy u



Okładka projektu  
ZYGmunta KOWALEWSKIEGO

siebie w domu, w pokojowych warunkach nie mieli zwyczajnie brania do ręki tomiku poezji.

Nie trudno zrozumieć, jakie to potrzeby. Cud poezji przywracał ludzi „na Ojczyznę żonę”. Poezja dawała najbardziej potrzebny wyraz uczuciom tęsknoty. Była i jest najbardziej spontaniczną reakcją na coraz to zmieniające się nowe sytuacje, które często trudno myślowo opanować, których nieraz nie chce się zrozumieć, ale na które nie sposób nie reagować żywo uczuciowo.

O tym, jak bardzo stan ten jest specyficznie polski, przekonywa nas zestawienie naszej literatury emigracyjnej z tym, co pojawia się dziś z literatury francuskiej poza granicami Francji. Na czoło wybija się tam przede wszystkim bogata publicystyka (Pertinax, Kerillis, Benda, pani Tabouis, a w obozie katolickim Bermanos i Maritain), dalej powieść (Malraux, Romans, Green) i literatura wspomnieniowa (Maurois, de Saint Exupéry, Raissa Maritain). Liryka — z bardzo popularnym Aragonem na czele — zajmuje tu niewątpliwie jedno z dalszych miejsc.

Rzecz prosta, zmienione warunki musiały wywołać poważne przemiany na giełdzie wartości literackich. Wojna obeszła się surowo z kameralną muzą Pawlikowskiej. W wierszach Lechonia, którego przecież przywykliśmy uważać za jedno z kilku pierwszych nazwisk naszej literatury przed wojną, drażni nas dziś brak beśpłodności, przerost stylizacji. Nadozwrot, — Baliński natrafił na „swoją” temat w lirycznej ewokacji przeszłości. Retoryczna poezja Słonimskiego znalazła w niektórych wierszach „Alarmu” tony, zadziwiające świeżością liryzmu i naturalnością jego wyrazu. O ogromnej popularności Broniewskiego zdecydowały wielka prawda poetycka, czystość tonu i idąca z nią w parze prostota wyrazu, nade wszystko zaś postawa żołnierska, nie wywołana tylko okolicznościami zewnętrznymi, ale głęboko tkwiąca w poecie (ileż to razy dawniej, mówiąc o sobie, używał obrazowania, zacerpnętego z życia żołnierskiego, np. w wierszu „O sobie samym” z „Dymów nad miastem” (1926): „Umiem strzelać pewnie i celnie, umiem w ogniu wytrwać spokojnie”, albo w „Mannlicherze” z „Krzyku ostatecznego” (1939): „Ale idę jak żołnierz dalej...”).

Skoro mówimy o przemianach na giełdzie literackiej, koniecznie musimy uczynić odrzuć jedno ważne zastrzeżenie. Oto na giełdzie tej gra się ciągle tymi samymi walorami. Emigracja przyniosła kilka udanych debiutów, ale na czołowych pozycjach utrzymali się ci poeci, którzy je zdobyli na długo przed wojną i którzy uwolnili ze sobą na emigrację spory bagaż poetycki.

To jedno. Po drugie zaś zauważyć trzeba, że poezja ta przy całym swoim bogactwie i różnorodności — pod jednym względem jest dziwnie uboga. Oto unika ona bardziej skomplikowanych implikacji myślowych. Cała ta poezja żyje pewnymi elementarnymi stanami uczuciowymi: poeci dają wyraz swojej tęsknocie, woli życia, wybuchają okrzykiem protestu. Ale nie śpieszą im do zrobienia rachunku sumienia, do pasowania się z pytaniami, jak, dlaczego i za co, do rozprawienia się z problemem tragedii Polski. Najwięcej już tych implikacji myślowych znajdujemy w poezji

Wierzyńskiego. Ale jego postawa ideologiczna zgóry już wyklucza tu wszelkie rewizje. Wrazem formalnym tego jest uderzająca przewaga małej formy: wiersza lirycznego. Poe-maty Balińskiego i Słonimskiego są tutaj tylko pozornym wyjątkiem: składają się na nie cykle wspomnień o bardzo luźnej kompozycji; pewien automatyzm pamięci zdaje się być tutaj główną zasadą kompozycyjną („Kwiaty polskie” Tuwima znamy tylko w urywkach; zresztą, sądząc po tych fragmentach, nie odbiegają one od tej zasady).

Wystarczy na chwilę zestawzić wszystkie te wiersze z poezją Wielkiej Emigracji, aby uświadomić sobie całą przepaść, jaka dzieli te dwie emigracyjne poezje: rozpiętość tematyki, ambicje zamierzeń twórczych, przewagę wielkiej formy tamtej poezji. Zapewne, może tu ktoś zarzucić, że przymierzanie naszej poezji emigracyjnej do najwyższych tradycji literatury polskiej jest złośliwą niesprawiedliwością. Ale ostatecznie czasy nasze to „chwila dziwnie osobliwa” i życie w „historycznym” okresie nakłada specjalne obowiązki.

Jest w naszej literaturze emigracyjnej jedna próba takiego rachunku sumienia. Jest to powieść Pruszyńskiego „Droga wiodła przez Narvik”. Literacko nie jest to próba najudańsza. Autor — debiutant na polu powieści — zgubił się na rozdrożu powieści, reportażu i publicystyki. Ale żywość reakcji, jakie ta odważna powieść wywołała, świadczy, jak istotnym odpowiadała ona potrzebom i o jak istotnie zatracala zagadnienia.

Otóż na tym tle „Laska nocy” Broncela jest wydarzeniem dużej miary. Wiersze Broncla nawiązują nie tradycji wielkiej poezji romantycznej tamtej emigracji: tak jak tamta poezja są one poetycką rozprawą z losami Polski. Wszelkie ustalanie w ramach tego nawiązania hierarchii wartości byłoby ze strony recenzenta postępkiem nad wyraz nierozsądnym, — brak nam po temu odpowiedniej perspektywy. Ale już sam fakt, że nawiązania tego nie traktujemy jako bluźnierstwa czy nawet niewłaściwości, mówi nam bardzo dużo. Charakteryzuje klasę tej poezji.

Co najciekawsze, z tak wielkimi zagadnieniami wziął się za bary homo novus w poezji, debiutant. Nazwisko Broncla było co prawda już przed wojną znane w kręgach literackich Warszawy, ale wyłącznie jako nazwisko bardzo wszechstronnego publicysty. Lirykiem został „nel mezzo del cammin di nostra vita”, w wieku, w którym normalnie poeci mają już za sobą poważny dorobek literacki i w którym nikt nie jest z pisarzy przestaje pisywać wiersze. Poetę w Bronclu obudziły przeżycia wojenne, ścisłej — pobyt w obozie pracy przymusowej na Uralu. Jak sam pisze we wstępie do swych „Sonetów uralskich”, wtedy „po raz pierwszy spróbowałem pisać dla swych przyjaciół — współwięźniów”. Wiersze, które w ten sposób powstały, nie miały charakteru wierszy osobistych: dawały wyraz pewnym przeżyciom ogólnym.

Tutaj właśnie tkwi tajemnica powstania w naszym emigracyjnym świecie „Pożegnania” Broncla. Był to pierwszy wiersz Broncla, jaki — już zgórą przed rokiem — przeczytałem. Wiersz ten zachwycał mnie swą bogatą i soczystą orkiestracją dźwiękową, śmiałością i żywocią metaforyki (myślę tu przede wszystkim o jego pierwszych czterech wspaniałych strofach, dalsze nie utrzymują się na tym poziomie, a w ostatniej jako przykry grzyt odczuwam wiersz: „będziesz w wężu pancernej wśród wieńców polskich przejeżdża?” — zestawienie to razi sztucznością, tym bardziej, że wieża jest tak mało charakterystyczna dla polskiego krajobrazu). Ale jeśli wiersz ten był tyle razy przedrukowywany we wszystkich niemal większych środowiskach emigracji polskiej, to nie dla samych swoich zalet formalnych, ale dlatego, że dał wyraz uczuciom, nurtującym nas wszystkich: świadomości tragicznej niewspółczesności armii polskiej we Wrześniu.

Nie więc dziwnego, że dziś te właśnie wiersze o charakterze polityczno-patriotycznym muszą przy lekturze „Laski nocy” wybić się w świadomości czytelnika na plan pierwszy, przytaczając wiersze inne, lirykę o charakterze osobistym, intymnym.

Tym niemniej te inne wiersze są. Autor tytułem jednego z nich nazwał cały tomik, — najlepszy dowód, jak duże przywiązuje do nich znaczenie. Bo też jeśli idzie o czystość wrażenia i jednolitość poziomu, wiersze te należą do najlepszych. „Litania loretańska” jest poematem bardzo ambitnym w zamierzeniu i ma ustępy o wyjątkowej sile wyrazu, ale jako całość jest to dzieło bardzo nierówne. Tymczasem takie wiersze, jak „Con fuoco”, „Srebrne i czarne”, czy też bardzo różny od nich, a zachwycający swą naiwną stylizacją „Już wyszedł księżyc nad miasteczkiem”, mają do siebie, że ich wysoki poziom jest wytrzymany w całym wierszu.

Na wierszach tych zresztą najlepiej prześledzić można technikę poetycką Broncla. Weźmy choćby wiersz „Con fuoco”. Wiersz ten żywo przypomina jeden z bardziej znanych wierszy Tuwima, jego „Wszystko”, zachowujący się od słów:

Oddać ci wszystko: każdy sen i drgnienie,  
Każdy nerw ciała, każdy ruch i krok!  
Przeszłość — to tylko o tobie wspomnienie,  
Przyszłość — to tylko twój najświętszy wzrok!

Mimo tych podobieństw oba wiersze są zupełnie inaczej skomponowane. W wierszu

Tuwima mamy na końcu pewne decrescendo, ściszenie tonu:

A potem — oddać ci ostatnie tchnienie,  
Skonać spokojnie, wiernie u twych nóg,  
I, wstecz spojrzawszy, wierzyć

niewzruszenie,  
Że tak — za Ciebie-m tylko umrzeć mógł.

U Broncla jest inaczej. W jego wierszu ekstaza dosięga w ostatniej strofie najwyższego poziomu natężenia, jest pointą, do której zmierza i w której kulminuje cały tok wiersza.

I gdyby Bóg mi cie wydarł ze szczęścia,  
Stać się całunem w dławiającym grobie,  
By wieczność całą mieć cie w objęciach  
I w proch się rozsypać przy tobie.

Ta pointa to nie innego, jak typowe barokowe concetto (przez concetto rozumiemy rzadkie, zaskakujące czytelnika przenośnie, oparte przeważnie o wymyślne przeciwstawienia). Określenie to jest tylko próbą charakterystyki rodzajowej. Nie kryje się w nim żadne wartościowanie ujemne. Barokowe concetti zyskały sobie naprawdę u historyków literatury starszej daty przeważnie zia sławę dlatego, że porywali się na nie arcy-często poeci, nie rozporządzający odpowiednio wyrobioną techniką słowa poetyckiego, że czuło się może wysiłku poetyckiego. Tymczasem concetti są jak przeszkody, które sens swój mają tylko wtedy, gdy się je bierze lekko. Ale to, oczywista, jeszcze nie wystarczy. Pamiętamy w poezji barokowej wiersze, które brzmią bardzo zgrabnie, ale których poetyckie concetti drażnią swą pustką duchową, niewspółmiernością wyszukanej formy z blachą treści. Głębszego, wewnętrznego uzasadnienia barokowym concetti nadają dopiero takie sytuacje, które swą niezwykłością, ekstatycznym napięciem uczuć, zderzeniem się kontrastów w samych temacie poetyckim usprawiedliwiają użycie takiej formy. Powstają wtedy takie arcydzieła poezji barokowej, jak np. w poezji angielskiej niektóre wiersze Johna Donne’a.

W „Con fuoco” uzasadnieniem takim jest pasja ekstazy miłosnej, dążącej do zatracenia się w ukochanej, tak jak przekonywującym artystycznie czyni go to, że jest on napisany nie tylko „con fuoco”, ale i „con brio”. Najklasyczniejszym, czystym przykładem takiej techniki poetyckiej będzie w tomie „Srebrne i czarne”, wiersz tytułem swym prowokujący zestawienie z klasycystycznym spokojem znanego wiersza Lechonia.

„Wiersze naiwne” są tylko pozornym odstępstwem od tej zasady. Ich urok (jeśli wy-łączyć „Kołysankę wojenną”, która jest poniżej poziomu innych wierszy tomu) polega na tym, że są to wiersze tylko pozornie naiwne, że są stylizacją na naiwność.

Otóż jest rzeczą oczywistą, że w odniesieniu do naszych katastroficznych czasów, które, ciężarne gwałtownymi konfliktami, wyrzuciły nas z normalnej kolejiny zdarzeń i ciągle każą nam być świadkami zderzenia się sytuacji kontrastowych, paradoksalnych, niezwykłych, taka technika poetycka, czy — jeśli kto woli — taki typ organizacji poetyckiej jest szczególnie szczęśliwy. Przypomnijmy choćby wiersz „Virtuti Militari”. Jego pomysł to — jeśli brnąć rzecz czysto formalnie — znów barokowe, wymyślne concetto. Ale tragiczna paradoksalność naszej sytuacji politycznej jest tego rodzaju, że takie concetto staje się tu właśnie jedynym możliwym, odpowiednim wyrazem, oddającym całe uczucie bolesnego zaskoczenia jej niezwykłością i kontrastami, jakie się w niej spięły.

Tę techniką napisane są już najwcześniejsze z wierszy tego tomu — „Sonety uralskie”. Ich ekstatyczność jest naturalnym wyrazem sytuacji, stawiającej człowieka wobec rzeczy ostatecznych, odwracających czy zmieniających utarte proporcje zdarzeń. Ale wartość ich tkwi przede wszystkim w czym innym: w świadomości, nie opuszczającej poety ani na chwilę, że cierpienia grupy więźniów są funkcją tragicznej sytuacji Polski, że ta sytuacja stale się w ich losie załamuje:

Kiedy o świecie w polską historię się wali  
Grzmotem „Jesopowahu” — drzewo za  
Uralem

Inny rys charakterystyczny tych sonetów to sprzeżenie w nich tematyki patriotycznej z religijną, albo lepiej: użycie symboliki religijnej dla wyrazu uczuć patriotycznych.

Jeden z sonetów nosi zuchwały tytuł „Dziady”. Tytuł ten zresztą tłumaczy się nawiązaniem nie do dramatu Mickiewicza, ale do obrzędu dziadów. Tym niemniej analogie, jakie tytuł ten nasuwa, są bardzo istotne: tragedia narodowa, widziana poprzez cierpienia drobnej grupy skazanców i wyrażona przy pomocy religijnej symboliki.

Zdolność odczuwania bicia pulsu historii w konkretnych wydarzeniach, umiejętność pokazania w krótkich spieśkach metafor dalekich historycznych perspektyw — to szczególnie cenny rys charakterystyczny tej poezji. Wiersz „Na śmierć Generała” nie jest żadnym pośmiertnym egiptem w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Jego motyw przewodni to niepokój o losy Polski, o nasze „przejście pośrodku historii”. Ale właśnie przez związanie śmierci gen. Sikorskiego z tym motywem nadał Broncel tej śmierci tak głęboki tragiczny rezonans, jakiego nie mogłyby stworzyć żadne nekrologowe superlatywy.

Najambitniejszym z tych historyczno-politycznych wierszy jest poemat „Litania loretańska do Najświętszej Marii Panny”. Każda z sześćdziesięciu strof tego poematu jest jednym z wezwań do Matki Boskiej z litanii

loretańskiej. W ten sposób litania stała się jakby kośćcem konstrukcji poematu. Takim ujęciem — nie trzeba podkreślać, jak wielkie nasuwa ono trudności techniczne — złożył Broncel dań swemu concettizmowi. Ale też ujęcie takie tutaj zaciążyło pod jednym względem na poemacie szkodliwie. Oto jego kompozycja jest nieorganiczna, zasada kompozycyjna — w gruncie rzeczy przypadkowa. Bardzo często nie można się zorientować, dlaczego dana strofa znajduje się właśnie w tym, a nie w innym miejscu. Dlatego może po jej przeczytaniu świadomości czytelnika narzuca się szereg mocnych i pięknych fragmentów, ale tak trudno ująć w jakąś jedną formułę syntetyczną wrażenia o „Litaniu” jako całości.

Jej modlitewna forma jest tylko pretekstem. Litania nie należy do poezji religijnej, ale — do patriotycznej. Jesliby ktoś miał wątpliwości, rozproszyc je powinien choćby taki wiersz:

Kul samobójczych — o jedną za mało.

Bez względu na to, jakby z naszych doczesnych względów tego rodzaju upominanie się o „kulę samobójczą” było usprawiedliwione, modlitwa o taką kulę byłaby może właściwa przed herma Seneki, ale nie przed obrazem Matki Boskiej: kościół katolicki nie uznaje samobójstwa jako metody załatwiania rachunków sumienia.

Nie o ten szczegół jednak tylko idzie. W naszej wielkiej poezji romantycznej rozprawa z tragedią Polski niejednokrotnie przechodziła w sferę przeżyć religijnych. Znajdowało to swój wyraz albo w buncie („Powień, żeś Ty nie ojcem świata, ale carem”), albo też w uznaniu jakiegoś wyższego, pozaziemskiego sensu wszystkich nieszczęść Polski („Bogostawcie ojców winie !”). Jakżeż jest z „Litanią” Broncla?

Jest to rozprawa z nieszczęściami, jakie spadły na Polskę po Wrześniu i z objawioną w świetle doświadczeń wojennych nicością ludzi, którzy nami przed Wrześniem rządzili. Nie ma tu buntu, nie ma też jakiegokolwiek doszukiwania się mistycznego sensu nieszczęść. Celem modlitwy są normalne, ludzkie prawa, określone naszymi ziemskimi warunkami bytu:

O przestań wodzić nas na pokuszenie,  
Zjadacz chleba w aniołów nie zmieniaj,  
Nie o anielskie, lecz o ludzkie prawa  
Błagamy Ciebie... — O Panno laskawa,  
— Módl się za nami!

Advocatus diaboli — jest on, jak wiadomo, dobrym dialektykiem — mógłby w tym miejscu podsuflować słowa Ewangelii: „Królestwo moje nie jest z tego świata”. Rzecz prosta, prawdy uczuciowej takiego właśnie stanowiska, jakie zostało ujęte w przytoczonej tutaj strofie, nie trzeba tłumaczyć, — jest ona oczywista. Ale jest to prawda całkiem naszego doczesnego porządku.

Szczególnie silnie wypadły w poemacie te strofy, które mają charakter inwektywy politycznej, np.:

Ach, pamiętamy, żołnierze daremni,  
Dzień który prawdy wysmażał nam biczem,  
Do ostatecznych dopuścił tajemnie,  
Do sacro sanctum, że jesteśmy niczem,  
Zwarci, gotowi — w frazesu alchemii,  
Kukla tragiczna dla cudzych obliczeń,  
Armia, wysłana do bitwy cudownej,  
A cud się nie stał...

Są w tej strofie, jak i w innych jej podobnych, zwroty o epigramatycznej zawartości i celności poetyckiego słowa.

Zadane zresztą zastrzeżenia nie mogą zmniejszyć podziwu czytelnika dla wielkości zamierzeń twórczych tego poematu, dla siły wyrazu niektórych jego ustępów, rozmaitości zawartych w nim typów ekspresji (proszę choćby porównać strofę, zaczynającą się od słów „W ogrodach Persji szodły tuberozy...”, ze strofą, przytoczoną wyżej), wreszcie dla szlachetności i bogactwa jego języka.

Już po oddaniu do druku „Laski nocy” ogłosił Broncel wiersz „Jerozolima”. Wiersz ten — bardzo zresztą ciekawy jako eksperyment formalny — świadczy o zdolności ewokowania atmosfery historycznej także i w związku z niepolitycznymi tematami. Znajdujemy tu ten sam patos historii, to samo halucynacyjne zgęszczenie atmosfery uczuciowej, wywołane nagromadzeniem zaskakujących czytelnika przenośni. Wiersz ten dowodzi, że specyficzny charakter poezji Broncla nie można wywodzić tylko z tragicznej rzeczywistości współczesnego życia polskiego, ale że jest on uwarunkowany jego własną poetycką wizją świata. Wizja ta kryje w sobie ogromne możliwości.

Wiktor Weintraub.

## WAŻNE DLA P. P. WOJSKOWYCH NA SEZON LETNI

poleca w wielkim wyborze mundury drelichowe i weiniane, szorty, koszule gotowe i na zamówienie, bieliznę trykotową, oraz wszelkie artykuły i galanterię wojskową a także ręcznie haftowane dystynkcje.

**GUR-ARIEH**

(Właśc. A. Gurman)

TEL - AVIV, ul. ALLENBY 83



IRENA KEJLIN

# „W PARTEROWYM DOMKU PRZY CICHEJ ULICY”

## Ucieczka z miasta

Niejednemu wydaje się może, że gdyby tylko miał pieniądze, potrafiłby na własną rękę rozwiązać zagadnienie, nad którym gawędzi się od lat urbanista: jak połączyć zalety wsi i miasta, unikając równocześnie ich wad. Mieszczuch sądzi, że gdy kupi parcelkę za miastem („kiedyś dojdzie tam tramwaj”), gdy wybuduje sobie domek („podobno przeprowadzą kanalizację”) i będzie miał własny ogródek, naokoło zieleni a i do miasta blisko — to będzie szczęśliwy.

Chęć ucieczki z miasta jest zrozumiała. Miasta, w których żyjemy, są potworne. Potworne pod względem zdrowotnym, potworne w swej brzydocie; nie zaspokajają one ani potrzeb indywidualnych jednostki, ani zbiorowych — społeczeństwa. Ale czy taka indywidualna ucieczka na peryferie rozwiązuje choć w najmniejszej mierze ogólne problemy urbanistyczne?

## Przedmieścia

Bezdarna zabudowa przedmieść jest samolubna i antyspołeczna, rezultatem jej jest coraz dalsze odsuwanie natury i zieleni od miasta i skrzywienie jego linii rozwojowej. Jest poza tym niecelowa, gdyż miasto w swym rozwoju i tak polknie tereny podmiejskie i idylliczny domek znajdzie się nagle wśród gwaru wielkomiejskiego.

Uciążliwa komunikacja z miejscem pracy, wyrzeczenie się rozrywek, żywego kontaktu towarzyskiego — w imię czego? Czy w imię tej straszliwej nudy i beznadziejności, jaka nas od razu ogarnia, gdy przejeżdżamy tylko przez niekończące się bezładne przedmieścia, chcąc się wydostać na prawdziwe „dono natury”? Wystarczy przypomnieć sobie wyjazd z Warszawy przez Grochów...

Jeśli równocześnie nasunęła się nam myśl o antytezie Grochowa, o Żoliborzu, to trzeba zaznaczyć, że przecież Żoliborz nie jest przedmieściem w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Jest samodzielnym tworem miejskim, planowo zabudowanym, raczej „miastem-satelitą”, oddzielnym od Warszawy pasem zieleni (zbyt małym zresztą).

## Planizm

Planowanie miast nie jest niczym nowym. Tylko my, w zarożumiałości powojennego pokolenia, sądzimy, że jest to wynalazek Corbusiera, sowieckiego régime'u lub faszystowskiego dyktatora. „Już starożytni Grecy” budowali planowo — i jak pięknie! I nie tylko oni: planowany był obóz rzymski, warowne miasto średniowieczne i dzielnica barokowa.

Dopiero wiek XIX przekreślił to wszystko w imię liberalizmu i pozornego indywidualizmu. I to właśnie wtedy, gdy niespotykany dotychczas w dziejach rozrost miast wymagał większego niż kiedykolwiek nadzoru! Niedbała budowa w imię rentowności, ulicawoży, podwórza-studnie — oto dziedzictwo XIX w., od kiedy miasto, ta wielka zdobycz cywilizacji, stało się przekleństwem.

Oczywiście musieli nastąpić silna reakcja. Najsilniejsza w kraju najbardziej uprzedmiotowionym, o olbrzymim procencie ludności miejskiej i najbrzydszych miastach, t. j. w Anglii. Nie zapominajmy, że Anglia ma 80% ludności miejskiej, że 1/3 całej ludności skupiła się w sześciu największych miastach, a 1/5 — w obrębie Wielkiego Londynu.

I dlatego w Anglii już od zarania XX w. odbywały się reformatorzy społeczni, architekci i literaci, którzy szukają sposobów rozwiązania bolączek ludności, stłoczonej w straszliwych wiktoriańskich miastach. Reakcja była tak silna, że nastąpiła aż negacja samego pojęcia miasta. Hasła: „miasta są przetrzymkami”, „powrót na wieś”, do dziś podejmowane są w Anglii wciąż na nowo i każde z nich znajduje licznych wyznawców.

## Ani wieś — ani miasto

Jak to się często dzieje, pierwszym głosi-cielem nowych prądów był nie fachowiec-architekt, lecz literat G. H. Wells. W książce swej „Przewidywania” („Anticipation”, 1940) nakreślił obraz szczęśliwej ludzkości po rozwiązaniu według recepty „G. H. W.” wszelkich jej bolączek. W interesujące nas dziedzinie pogląd Wellsa dałby się streścić w ukutym później sloganie: „ani wieś — ani miasto” (neither town — nor country). Miast bowiem nie ma, znikły, roztopiły się. Po całej powierzchni kraju rozsiane są tylko domy (naturalnie w myśl angielskiej tradycji — jednorodzinne), połączone siecią doskonałych dróg, zaopatrzone we wszelkie zdobycze techniki, gdzie „jedynym widomym kontaktem ze światem będą druty elektryczne, biegnące od słupa do słupa”. Dziś Wells dodałby oczywiście do tego obrazu radio, a jutro telewizję...

I co z tego?

Czy to wystarcza? Czy rzeczywiście ideałem dla nas, ludzi współczesnych, jest konsumowanie w ciszy i zamknięciu życia rodzinnego dóbr kultury, wytwarzanych gdzieś w dalekich ośrodkach? I gdzieżby zresztą były te ośrodki, jeśli miasta znikną, a ludzie rozproszeni są po całym kraju, pozamykani w swych willach czy „cottage'ach”? W domkach wellowskich ubogie byłoby współżycie między ludźmi. Główną atrakcją mają być wyjazdy na weekendy do przyjaźni.

Człowiek jest zwierzęciem towarzyskim.

Sala koncertowa nie straciła swojej siły atrakcyjnej, mimo że możemy dziś słuchać koncertu w domu, wygodnie w fotelu, a nawet — z nogami na biurku. Kobiety wolą robić zakupy na ruchliwych ulicach śródmiejskich, niż zaopatrywać się w pobliskich sklepach. Miasto powstało co prawda jako wytwór warunków ekonomicznych, ale przecież już w zamierzonych czasach, w zaraniu cywilizacji, stało się miasto właśnie samoistnym wyrazem tej cywilizacji i jej ośrodkiem.

Wells twierdzi, że łatwa komunikacja i nowe zdobycze techniki stworzyły warunki, w których miasto stało się niepotrzebne. Przeciwnie, miasto dziś może nam dać jeszcze więcej możliwości, więcej podniet, siła jego przyciągania stale wzrasta. W imię czego więc mielibyśmy się go wyrzekać?

## Miasto-wieś

W tym samym okresie, u schyłku XIX w., reformator społeczny, Howard propagował inne trochę, mniej radykalne rozwiązanie tego problemu: „miasto-wieś”. Przerodziło się to później w znane, choć nie zawsze rozumiane hasło: „miasto-ogród”. Dziś podstawia się najrozmaitsze pojęcia pod tę nazwę, ale Howard głosił prosto — powrót na rolę. A więc zmierzaj on także, choć nie tak jaskrawo jak Wells, do przekreślenia właściwego pojęcia miasta.

Howard oczekiwał się nawet realizacji swojej idei: w r. 1903 wybudowano w Anglii pierwsze miasto-ogród, Letchworth, którego założenie oparte było na zasadzie, do dziś w Anglii propagowanej jako ideał: maximum 12 domów na akrze. Chodzi o to, by właściciel domku mógł zaopatrywać swą rodzinę w jarzyny z własnego ogródka, a nawet część swych zbiorów sprzedawać.

To rozwiązanie ma jeszcze dodatkowy aspekt i uboczną intencję: drenaż fermentów rewolucyjnych. W proletariatus obudzi się instynkt posiadacza, i nawet bezrobotny, który ma właśnie wypływać swoje grzadzki, może nie znaleźć czasu na opozycyjne wystąpienia polityczne... „Back to the land” — to prąd zrozumiały w kraju, gdzie w ostatnim stuleciu nastąpił tak silny odwrót od rolnictwa; w kraju, skazanym w ogromnej mierze na import żywności, w kraju, gdzie wielkie połacie ziemi leżały odłogiem lub stanowiły prywatne parki i tereny golfowe. Wojna dała dodatkowy impuls do powrotu na rolę, przybrała do charakteru patriotyczny: „save shipping”.

Nie przejdzie to bez śladu. Najprawdopodobniej po wojnie idee Howarda doczekają się w Anglii częściowej realizacji. Nie będzie to oczywiście tak powszechne, jak to sobie wyznaczył Howard wyobrażając. Poprostu nie wszyscy zechcą uprawiać jarzyny. „Ruralizacja miast” — to właściwie leczenie jednej choroby — druga, paraliż — malariz. Bo zaiste, czyż byłoby na tej wielkiej, wszechogarniającej wsi szczęśliwi? Czyż nie zatęskniłoby nawet do ciasnoty, dymu i hałasu miejskiego — byle być wśród ludzi, mieć „niezdrowe podniecie” i nie sadzić marchwi?

Najlepszą ilustracją naszych zastrzeżeń jest powrót do bombardowanego Londynu tysięcy ludzi, ewakuowanych do małych miasteczek i na wieś. Ludzie, którzy woleli narażać swoje życie, tułać się nieraz bezdomnie, syniać w tunelach kolei podziemnej — byle tylko nie być skazanym na beznadziejność wsi. Wśród wielu bolączek społecznych, których rozwiązania szukamy, nie zapominajmy też o nudzie.

## 2 D i 2 R

Na temat gospodarki powojennej w Anglii zabrali ostatnio głos emigranci niemieccy, ekonomiści, zgrupowani wokół poważnego, ale nudnego wydawnictwa „The International Library of Sociology and Social Reconstruction”. W książce „Creative Demobilisation” dr Gutkind rozstrząsa na tle zagadnienia przebudowy gospodarczej Anglii, problemów przemysłu i rolnictwa, także i sprawy, nas interesujące. Slogany tej książki, to wybrane z 15cie niemieckim zamiłowaniem do symetrii myślowej — dwa symbole: 2 D — Dispersal and Decentralisation (rozproszenie i decentralizacja) i 2 R — Ruralisation and Reurbanisation („ruralizacja” miast i urbanizacja wsi).

Cóż to potwornie brzmiące słowa mają oznaczać? Rozproszenie (dispersal) przemysłu po całym kraju, rozbudowanie sieci małych fabryczek nie tylko w miasteczkach, ale nawet i po wsiach — wprowadzić na elementy miejskie na wieś (reurbanizacja). Poza tym częściowe zatrudnienie ludności wiejskiej w przemyśle miałyby zniwelować istniejącą przepaść między mentalnością wieśniaka i mieszkańca miasta. Z drugiej zaś strony daleko idące rozluźnienie zabudowy miasta i wprowadzenie doń wielkimi klinami krajobrazu wiejskiego, sięgającego aż do centrum, upodobniłoby miasto do wsi (ruralisation).

A więc znowu dawne wellowskie i howardowskie echa, tym razem oparte częściowo na przesłankach ekonomicznych i podparte rzekomo przejawiającymi się już w Stanach Zjednoczonych i ZSRR tendencjami.

Zdawałoby się, że dr Gutkind ma rację. Bo np. poco dziś koncentrować ciężki przemysł wokół ośrodków węglowych? Miałoby to sens wtedy, gdy węgiel byłby jedynym źródłem energii i gdy transport byłby trudny i drogi; obecnie zaś możemy łatwo wszędzie doprowadzić energię elektryczną. Ale na tym kończy się słuszność tezy Gutkinda. Nie ma bowiem

żadnych powodów, aby nie centralizując co prawda terenowo przemysłu, jak dotychczas, rozproszyć go wsiach i miasteczkach, sieć warsztatów i fabryczek i przywrócić w ten sposób w zmienionej postaci nowy rodzaj chałupnictwa. Zupełnie zbyteczna jest utrata niebywalej ilości czasu i energii na rozwożenie surowców i gotowych fabrykatów.

Wojna zmusiła przemysł angielski do rozproszenia się po całym kraju, ale czy powinniśmy i w czasie pokoju podporządkować całokształt życia ewentualnym wymaganiom wojennym? Chcąc być konsekwentnym, winniśmy w takim razie przenieść całe nasze miasta 20 metrów w głąb ziemi, co da jeszcze większe bezpieczeństwo od ataków lotniczych niż rozproszenie. A jednak nikt tego nie proponuje.

Wszędzie, niezależnie od ustroju, tak w Stanach Zjednoczonych jak i w ZSRR, widzi my grupowanie się przemysłu w wielkich kombinatach, a więc tendencję, przeciwną tezie Gutkinda. I jeśli dziś rzeczywiście nie jesteśmy związani koniecznością ekonomiczną budowania kolosów przemysłowych przy istniejących wielkich miastach — to z drugiej strony kombinat fabryczny, stworzony nawet na pustkowiu, skupi koło siebie automatycznie nowe miasto. Zgrupują się wokół niego osiedla robotnicze, powstaną jakieś centrum zaopatrzenia — stanie się ośrodkiem, przyciągającym pokrewne przemysły. Mogłoby zaobserwować ten proces w Zlinie (fabryka Baty), a osiągnięcia Magnitogorska i Kuzniecka są najlepszym dowodem celowości planowania takiego układu.

A więc istniejący bezspornie samorzutny proces oddalania się przemysłu od istniejących wielkich miast nie prowadzi do „decentralizacji i rozproszenia”. Jest to raczej „subcentralizacja”, czyli tworzenie podśrodków.

Na czym będzie polegała planowa ingerencja państwa i samorządów miejskich przy subcentralizacji? Trzeba przede wszystkim właściwie rozmieścić nowy lub odbudowujący się po zniszczeniach wojennych przemysł: w pierwszym rzędzie ulokować go w istniejących małych miastach, rozbudowując równocześnie dogodną sieć komunikacyjną dla dalszego ich rozwoju. Poza tym można, idąc za przykładem urbanistów sowieckich, zakładać nowe miasta przemysłowe tam, gdzie się znajdzie specjalnie nęcące warunki, jak bliskość surowca czy istnienie węzła komunikacyjnego.

## Miasto — miastem, a wieś — wsią

Architekci zdają się mieć żywsze odczucie rzeczywistości i lepszą znajomość psychologii ludzkiej niż ekonomiści i reformatorzy społeczni. Architekt Thomas Sharp, profesor architektury i urbanistyki uniwersytetu w Durham od wielu już lat walczy piórem, słowem i rysunkiem o racjonalne reformy urbanistyczne. I on chce, jak i inni reformatorzy, o których pisaliśmy, zapewnić wszystkim słońce, zieleni i powietrze, a jednak stoi na diametralnie różnym od nich stanowisku.

Miasto winno pozostać miastem, a wieś wsią. Nie mieszaćmy tych dwu pojęć, przeciwnie, dbajmy o miejski charakter miasta i wiejski charakter wsi. Coraz powszechniej sze tworzenie rezerwatów i parków narodowych — to pierwszy krok w kierunku zachodzenia zieleni i przyrody w jej naturalnym stanie. Zachowajmy także i miasto — w innej, lepszej, piękniejszej postaci, ale niech zostanie miastem, wydzieloną jednostką o swoim charakterze.

„Czyż należy poświęcić dramatyczny kontrast dwóch pozytywnych, starych wartości, miasta i wsi, dla stworzenia jednej beznadziejnej, martwej neutralności?” — rzuca Sharp wyzwanie zwolennikom wellowskich marzeń. „Jednym z najstarszych wrzuseń znanych cywilizowanemu człowiekowi, to dreszcz niespodzianki przy przechodzeniu z jednej formy w drugą: uczucie odprężenia dla zmęczonego mieszczucha, wyjeżdżającego na wieś, i uczucie podniecenia dla wieśniaka, szukającego wrażeń w mieście”. Należy tylko pamiętać o jednym niezbędnym warunku: aby miasta nie były za duże, aby dostęp do terenów zielonych był łatwy.

## Wielkość miast

Po rozważeniu wszystkich, wchodzących w grę, czynników, jak czas, zużyty na komunikację, dostęp do terenów zielonych, warsztaty pracy i rezerwuariaty sił roboczych, racjonalne wykorzystanie inwestycji miejskich i t. p. — wyliczono, że ideałem byłoby miasto o średnicy mniej więcej 6 kilometrów. Przyjmując gęstość zaludnienia 50 ludzi na akr, daje to miasto czterystatisięczne.

Podchodząc do tego problemu z drugiego końca, od strony człowieka, dochodzi się do analogicznych rezultatów. Miasto półmilionowe daje człowiekowi, prawie wszystkie możliwości kulturalne i rozrywkowe, zachowując jednocześnie jeszcze granice, możliwe do ogarnięcia wzrokiem i umysłem ludzkim. Człowiek nie jest w stanie poznać /należycie i żyć się nierozdzielnie z Nowym Yorkiem czy Londynem — przy tych kolosach osłabia się bowiem więź uczuciowa i zainteresowania. Nawet mieszkańcy Paryża żyją zamknięci w swym „arrondissement”, jak w prowincjonalnych miasteczkach, bo Paryż przerósł ich wyobrażenie o miasto.

Naturalnie, te pół miliona nie może być

sztywną regułą i dopuszczalne granice waha się od 50.000 aż do miliona mieszkańców.

## Megalopolis

Odrębnym jednak zagadnieniem jest przyszłość już istniejących wielkich miast. Niewątpliwie, zgrupowanie wielu milionów ludzi w jednym miejscu jest złe, nie możemy jednak zburzyć Nowego Yorku ani Londynu i rozgnać ludzi po wsiach. Wróca.

Zdawałoby się, że straszliwe zniszczenie wojenne Londynu umożliwi gruntowną jego przebudowę. Tak sam ludzono się po Wielkim Pożarze (w r. 1666), a jednak musiano odrzucić śmiały projekt Wren'a, jako za trudny do wykonania, i odbudowano Londyn według skromnych planów Hook'a. Radikalna przebudowa miasta jest niemożliwa w ustroju kapitalistycznym, gdzie najdalej nawet idąca ingerencja państwa musi się w końcu rozbić o prawo prywatnej własności.

Nowe plany Londynu przewidują jednak rozwiązanie wielu jego bolączek: całkowite zburzenie „hańby ludzkości — slumsów” i ruder, przebieganie nowych ulic dla rozwiązania trudności komunikacyjnych, założenie nowych parków i zieleńców. Takie zmiany może wprowadzić u siebie stopniowo każde wielkie miasto. Poza tym nie wolno dopuścić do dalszego rozrostu miasta-olbrzymia, Megalopolis, w dotychczasowy sposób. Nie wolno pozwolić na dalsze narastanie wokół niego koncentrycznych kręgów nowych dzielnic, przypominających słońce w pniu drzewnym. Dalszy rozwój musi pójść inną drogą: przez „pączkowanie”.

## Miasta-satelici

Siła przyciągania miasta jest funkcją jego wielkości. Duże miasto działa jak magnes: im większe, tym silniej przyciąga. Skoro zaś nie możemy tej siły zneutralizować wbrew marzeniom dr Gutkinda, a rzeczywiście nie możemy, trzeba założyć niedaleko wielkiego miasta (gdy przekroczy milion mieszkańców), w obrębie jego bezpośrednich wpływów, miasta mniejsze, podośrodki (a więc znów, subcentralizacja).

Miasto-satelita (którego gorącym zwolennikiem jest przytaczany już Sharp) ma być miastem samoistnym, samowystarczalnym w dziedzinie możliwości zatrudnienia swego rezerwuariaty sił roboczych, w dziedzinie przeciętnych zakupów i przeciętnych rozrywek. To znaczy, ma ono w pełni zaopatrywać swych mieszkańców w to wszystko, czego dostarcza każde inne „wolno stojące” miasto (nie satelita) analogicznej wielkości.

Ale koncepcja „satelitów” daje przecież więcej. Dzięki łatwej komunikacji „satelita” będą mogli ponadto korzystać z tych wszystkich świadczeń, jakimi rozporządza tylko naprawdę wielkie miasto: z koncertów, teatrów, uniwersytetu, wystaw, bibliotek — czy poprostu z emocji przechadzki po hałaśliwych, zalanych światłem neonów ulicach wielkomiejskich.

„Satelita” musi być oddzielony od miasta macierzystego szerokim, 8—10 kilometrowym rzeczywistym, niefałszowanym obszarem wiejskim, któryby stanowił nienaruszalny rezerwat zieleni i dostarczał miastom warzyw i nabiżu. Zależnie od wielkości i siły atrakcyjnej miasta macierzystego może ono być otoczone mniejszym lub większym wieńcem satelitów: może być jak Ziemia z jednym tylko księżycem, lub jak Saturn z dziewięcioma satelitami. Londyn posiada dwóch satelitów: Letchworth i Welwyn. Letchworth realizuje zresztą równocześnie, jak już wspomnieliśmy, mglisty sen Howarda o „mieście-ogrodzie”.

Miasta-satelici, oprócz swej kardynalnej zalety, względnej łatwości realizacji, posiadają niewątpliwie przewagę nad innymi projektami, dając dużą możliwość różnorodnych rozwiązań i kombinacji. Co prawda każdy reformator chciałby zbawić wszystkich ludzi według jednego wzoru i narzucić im własne pojęcie o szczęściu. W rzeczywistości zaś trzeba się przeciwieństwo liczyć z rozpiętością olbrzymiej skali zamieszkania i uspołobienia ludzkich. Istnieją miliony cichych, uśpionych miasteczek prowincjonalnych, którzy czują się szczęśliwi tylko:

„W Kutnie lub Sieradzu, Rawie lub Łęczycy,  
W parterowym domku, przy cichej ulicy”...

Są tacy, którzy odczuwają pełnię życia tylko w gwarze ruchliwych ulic Wielkiego Miasta. A dla tych, którzy chcieliby mieszkać w niedużym mieście wśród zieleni, nie tracąc jednak kontaktu z pulsującym życiem miasta wielkiego — ideałem będą miasta-satelici.

\* \* \*

Urbanistyka to nie tylko nauka o planowaniu miast. Zahacza ona o wszystkie prawie dziedziny życia społeczeństwa i jednostki. Gospodarka krajowa, elektryfikacja, względy strategiczne, komunikacja, zdrowie fizyczne społeczeństwa, tradycje architektoniczne — oto istotne elementy, które urbanista musi mieć stale na względzie.

Ograniczyliśmy się tylko do luźnych uwag, związanych raczej z psychologicznym aspektem istnienia miasta. Odrębną dziedzinę stanowi ukształtowanie wewnętrzne miasta: jak należy rozplanować jego dzielnice, jaki ma być charakter ulic, jakie ma mieć zabudowania, parki i zieleńce. Ale o tym — już w następnym artykule.



# FAKTY I KOMENTARZE

## ZAMKNIĘCIE „WIADOMOŚCI POLSKICH“

Zamknięcie „Wiadomości Polskich“ stwarza w naszym życiu emigracyjnym lukę przykry i nie do zastąpienia. Brak tego tygodnika odczuwają napewno i ci jego czytelnicy, którzy z kierunkiem jego w wielu wypadkach się nie zgadzali, z żalem obserwowali, jak w miarę czasu topniała ilość jego współpracowników, a z przykrością, czasem i niesmakiem czytali felietony głównego ostatnio publicysty pisma, Zygmunta Nowakowskiego. Felietony te, sentymentalne, historyczne, brak horyzontów politycznych usiłowały zastąpić grzebaniem się w plotece osobistej, brak koncepcji — pomysłowości kalamburzysty (jakże w dodatku skromnego w porównaniu z niegdyś szczytnymi majstersztykami Nowakowskiego i Słonimskiego). Mimo te grzechy „Wiadomości Polskie“ stały się prawdziwą instytucją w naszym życiu emigracyjnym. Brały czytelnika nerwem dziennikarskim, z jakim były redagowane, i dobrą kulturą literacką. Ponadto dla nas, w Palestynie, były cenne jeszcze i przez to, że pozwalały nam się orientować w naszym londyńskim życiu wychodźczym, w jego atmosferze, typie zainteresowań, temperaturze namiętności. Stwarzało to poczucie kontaktu, wcale nawet intymnego. Dziś kontakt ten się zerwał.

„Wiadomości Polskie“ były kontynuacją warszawskich „Wiadomości Literackich“ i tak jak i tamte stały przede wszystkim jednym człowiekiem, Mieczysławem Grydzewskim. Jego wyjątkowym zdolnościom organizacyjnym, pierwszorzędemu wyczuciu aktualności, orientowaniu się w ludziach, a nade wszystko najautentyczniejszej pasji dziennikarskiej przypisać należy, że tygodnik, stworzony w r. 1924 na doczepkę do „Skamandra“ i na wzór paryskich „Nouvelles Littéraires“, szybko wyrósł w poziomie i znaczeniu daleko ponad swój paryski wzór i stał się w naszym życiu kulturalnym prawdziwą potęgą. „Wiadomości Literackie“ były pismem liberalnej inteligencji. Liberalizmowi swemu dawały wyraz nie tylko przez to, że broniły pewnego systemu zasad (przede wszystkim w zacietej walce z niedołącznymi a dokuczliwymi próbami zetatyzowania naszego życia kulturalnego), ale także i przez to, że stały się szeroką trybuną dyskusyjną, na której spotykali się ludzie bardzo rozmaitych przekonań: Boy z Nowakowskim, Mackiewicz ze Słonimskim, Broński z Łakowiczówną. Ta tolerancyjność, brak zacietrzewienia, szacunek dla dóbr kulturalnych bez względu na ich stempel partyjny były szczególnie cennymi właściwościami „Wiadomości“ w okresie ostrej ofensywy wszelkiego typu infiltracji totalistycznych.

Tę liberalną eklektyczność zachowały „Wiadomości“, kiedy po Wrześniu pod zmienionym tytułem odżyły w Paryżu pod nominalną redakcją Nowakowskiego. Po upadku Francji szybko zaczęły znowu wychodzić w Londynie. Momentem przełomowym stało się w ich dziejach zawarcie paktu polsko-sowieckiego w 1941 r. Pismo ustosunkowało się do paktu wrogo i zajęło od tej chwili wobec rządu stanowisko opozycyjne, coraz bardziej z czasem w opozycji tej się zacietrzewiając. Wywołało to rozłam w jego składzie redakcyjnym. W ostatnich latach przed wojną członkami, firmowymi, obok Boya, współpracownikami „Wiadomości Literackich“ byli Słonimski i Pruszyński. W pierwszym londyńskim roku istnienia „Wiadomości Polskich“ Pruszyński nadawał pismu ton. Obaj od niego z czasem odeszli; Słonimski założył własne pismo, miesięcznik „Nową Polskę“. Ilość sprostowań różnych, ogłoszonych przez pismo rewelacji, była ostatnio niepokojąco duża; — charakteryzowało to jego zacietrzewienie w kampanii antyrządowej. Jedno jeszcze trzeba tu zanotować. Oto „Wiadomości Literackie“ były zawsze oknem szeroko otwartym na świat. Miano im to nawet czasem za złe, zarzucano kosmopolityzm. Gdyby zaś kto na podstawie lektury „Wiadomości Polskich“ chciał odpowiedzieć na pytanie, jak się w polskiej świadomości emigracyjnej kształtuje bujne i niezwykle ciekawe życie brytyjskie okresu wojny, musiałby dojść do smutnego wniosku, że życie to nie dociera nawet do prognozy świadomości emigranta polskiego w Wielkiej Brytanii.

Mimo to wszystko nawet w słabszych numerach „Wiadomości Polskich“ łatwo było wyczuć do końca łwi pazur jego redaktora: jego zmysł aktualności, wyczucie dobrej prozy literackiej, pasję dla ciętej polemiki.

ww.

## KANDYDACY

Oświadczenie o postawieniu kandydatury przez b. gubernatora stanu Massachusetts, Józefa B. Ely, z listy demokratycznej skompletowało listę kandydatów na stanowisko Prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej na najbliższy okres czasu. Wprawdzie Prezydent Roosevelt, który kończy dwunasty rok swego urzędowania, nie zgłosił jeszcze oficjalnie swojej kandydatury, zdaje się jednak, że w obecnym stanie rzeczy nie ulega ona wątpliwości. Ze strony republikanckiej kandydatury zgłosili: kontrkandydat Roosevelta z poprzednich wyborów, Wendell Willkie, i gubernator stanu Ohio, Bricker.

Można mówić dzisiaj, że znalazł się już komplet, ponieważ zarówno z jednej jak i z drugiej strony znaleźli się przedstawiciele

skrajnych poglądów, reprezentujący przeciwności punktu widzenia polityki wewnętrznej czy międzynarodowej. Zarówno Willkie jak i Prezydenta Roosevelta możemy zaliczyć do kandydatów radykalnych. Pierwszy z uwagi na swe prosowieckie nastawienie oraz program zasadniczej zmiany metody w stosunkach międzynarodowych. Prezydent Roosevelt natomiast ma za sobą dotychczasową politykę „New Deal“ oraz praktyczną politykę międzynarodową, której celem było rozwiązanie zasadniczych zagadnień współżycia międzypaństwowego na platformie współpracy z demokratycznymi narodami świata. Ely i Bricker natomiast przedstawiają raczej prawicowe kierunki partii demokratycznej i republikańskiej. Ponieważ w tym momencie idzie raczej o wachlarz poglądów, mających szanse pociągnięcia za sobą głosów narodu amerykańskiego, można mówić o skompletowaniu kandydatur. Wszyscy inni pretendenci do stanowiska prezydenta wypadliby raczej po środku niż na zewnątrz, bardziej na lewo, czy na prawo.

Jak w tej chwili wyglądają szanse poszczególnych kandydatów, trudno przewidzieć. Maszyna partyjna republikańska żywna niechęć do Willkiego, z powodu poparcia, udzielonego przezeń po przegranych wyborach Rooseveltowi. Willkie zaszkodził też sobie swoją orientacją, jeżeli idzie o stosunki międzynarodowe. Wprawdzie ostatnio próbował on odrobić popełnione błędy drogą szeregu przemówień, wyraźnie obliczonych na to, by naprawić złe wrażenie, wywołane poprzednimi wypowiedziami. Nie wiadomo jednak, czy zdołał rozproszyć podejrzenia, które mogą zadecydować w niektórych Stanach o wyniku głosowania. W całym szeregu bowiem Stanów Polacy, którzy nie są równomiernie rozsiadani na terytorium Republiki Północno-Amerykańskiej, mogą być językiem u wagi. Następnym czynnikiem, który może zaważyć na wynikach wyborów, to ogólny ruch polityki opinii politycznej Stanów Zjednoczonych w kierunku środka. Bardzo znamienne pod tym względem są wiadomości, które pozwalają określić program wyborczy obecnego Szefa Administracji jako umiarkowany w sensie polityki wewnętrznej a radykalny w sensie międzynarodowym. Trudno ocenić wszystkie przyczyny, które wpływają na ten ruch. Zdaje się jednak, że moment wspomniany tego okresu dobrobytu, który przyszedł po ostatniej wojnie światowej, z drugiej zaś strony opinie, panujące coraz silniej wśród żołnierzy amerykańskich, wskazują na to, że następuje pewnego rodzaju odwrócenie się od zbyt radykalnej polityki wewnętrznej, jako jedynej metody, mogącej przywrócić jako taką równowagę i bezpieczeństwo ekonomiczne szerokim warstwom społecznym. Ma to uzasadnienie w tej okoliczności, że w związku z zarysowującą się nadzieją na współpracę z resztą świata powszechnie rodzi się też nadzieja na nowy rozkwit produkcji w Stanach Zjednoczonych. Uzasadnienie to jest tym mocniej ugruntowane, że wiele problemów surowcowych, które przedstawiały pewne trudności dla gospodarki Stanów Zjednoczonych w okresie przed drugą wojną światową, zostało pomyślnie rozwiązane. W każdym zaś razie Stany Zjednoczone znajdują się na dobrej drodze do uzależnienia się od zagranicznej produkcji gumy, która obok sprawy płynnego paliwa stanowi w tej chwili jeden z głównych problemów, przed jakimi staje technika amerykańska.

Należy zwrócić uwagę na jeszcze jedną możliwość. Jeżeliby partia demokratyczna wystawiła lewego a partia republikańska prawego kandydata, lub naodwrot, i gdyby doszło do rozgrywek programowej, czego nie należy z uwagi na ogólne tendencje przewidywać, wówczas możemy być świadkami bardzo ciekawych zjawisk. Mnóżą się dowody na to, że tradycyjne związki poszczególnych grup społecznych w Stanach Zjednoczonych z partiami demokratyczną i republikańską zachowały się i uległy rozluźnieniu. W pewnej mierze jest to wynikiem wielkiego eksperymentu społecznego, jakim była polityka Prezydenta Roosevelta do okresu wybuchu wojny; polityka ta przeniosła wiele z metod, stosowanych poza Ameryką, na grunt Wielkiej Republiki. Umiarkowany program wewnętrzno-polityczny jest pod pewnym względem próbą ratowania tradycyjizmu politycznego w stosunkach wewnętrznych. Być może nie dojdzie tym razem jeszcze do zasadniczych zmian, ale są one możliwe i nie jest zupełnie wykluczone przekształcenie obu partii według zasad bardziej zbliżonych do kontynentalnych, reprezentujących konkretne interesy ekonomiczne i społeczne.

kg.

## NIEZNANA MOWA HITLERA

W swej świeżo ogłoszonej książce p. t. „What about Germany“ Louis Lochner, kierownik biura Associated Press w Berlinie w latach 1927—1941, przytacza tekst nieznanej światu mowy Hitlera, wygłoszonej 22 sierpnia 1939 r. w Obersalzberg w obecności dowódców i starszych generałów. Hitler wyłuszczył w tej mowie bez obsłonek swoje istotne zamiary co do podboju i urzędowania Europy, względnie nawet świata.

Tekst mowy otrzymał Lochner od swego stałego informatora, który odwiedzał go regularnie pod rozmaitymi „legalnymi“ pozora-

mi, omawiając dla ostrożności każde spotkanie i „kamufażując“ sprawę, która miała być jego pretekstem, przez telefon, połączony, rzecz jasna, z aparatem podsłuchowym Gestapo.

Oto tekst mowy:

„Moja decyzja zaatakowania Polski powzięta weszła w życie. Zrazu obawiałem się, aby konstelacja polityczna nie zmusiła mnie do uderzenia jednocześnie na Anglię, Rosję, Francję i Polskę. Ale i takie ryzyko trzeba było ponieść.

Od jesieni 1938 r., byłem zdecydowany porozumieć się ze Stalinem, zdawałem sobie bowiem sprawę z tego, że Japonia nie pójdzie z nami bez stawiania swoich warunków i że Mussolini jest zagrożony przez tego... króla i tę... następcę tronu.

Ostatecznie, są tylko trzech wielkich ludzi na świecie: Stalin, ja i Mussolini. Mussolini jest najsłabszy, gdyż okazał się niezdolny do złamania potęgi monarchii i kościoła. Stalin i ja jesteśmy jedyni, którzy patrzą w przyszłość i tylko w przyszłość. Za kilka tygodni podam więc Stalinowi rękę na wspólnej granicy niemiecko-rosyjskiej i przedsięwzię z nim razem nowy podział świata.

Nasza siła polega na naszej szybkości i naszej brutalności. Dżyngis-Chan oddawał na rzeź miliony kobiet i dzieci z premedytacją i lekkim sercem. Historia widzi w nim jedynie założyciela państwa. Co powie o mnie cywilizacja zachodnio-europejska, jest mi absolutnie obojętne. Wydałem rozkaz, — i każę rozstrzelać każdego, kto wypowie choćby słowo krytyki, — że naszym celem wojny jest nie osiągnięcie jakiejś linii, lecz fizyczna zagłada nieprzyjaciela. Dlatego trzymam moje formacje SS w stanie pogotowia — narazie tylko na wschodzie — z rozkazem wystąpienia na śmierć bez litości mężczyzn, kobiety i dzieci pochodzenia polskiego. Jedynie w ten sposób zdobędziemy „Lebensraum“, którego potrzebujemy. Ostatecznie, któż dziś jeszcze wspomina rzeź Ormian?

Generał Brauchitsch obiecał mi skończyć wojnę w Polsce w ciągu kilku tygodni. Gdyby był mi oświadczył, że będzie na to potrzebnych dwóch lat, albo nawet roku, nie dałbym rozkazu wymarszu, lecz byłbym się przysięgnął z Anglią, zamiast z Rosją. Nie jesteśmy bowiem w stanie prowadzić długiej wojny.

Jedno jest prawdą: powstała nowa sytuacja. Poznałem to niekwestionowane robactwo — Daladiera i Chamberlaina — w Monachium. Są zbyt tchórzyliwi na to, by zaatakować. Nie wyjdą poza blokadę. Ma zaś mamy naszą autarkię i surowce rosyjskie.

Polska zostanie wyludniona, a potem skolonizowana przez Niemców. Mój pakt z Polską, zawarty 26 stycznia 1934 r., nie miał przecież innego celu, jak zyskanie na czasie. Co do reszty — moi panowie — z Rosją nastąpi to samo, co wypróbowałem już z Polską. Po śmierci Stalina — jest to człowiek poważnie chory — zniszczymy Związek Radziecki. Wtedy wszędzie nad światem świt panowania niemieckiego.

Małe państwa mnie nie przerażają. Karol rumuński jest skorumpowanym niewolnikiem własnych chuci. Król Belgów i królowie nordyccy są marionetkami, zależnymi od dobrego trawienia swoich narodów zarówno najedzonych, jak i zmęczonych.

Musimy się liczyć ze zdradą Japonii. Dążę do Japonii rok czasu. Cesarz jest odpowiednikiem ostatniego cara: słaby, lękliwy, nie zdecydowany. Oby stał się ofiarą rewolucji. Moja współpraca z Japonią nigdy zresztą nie była zbyt popularna.

W dalszym ciągu będziemy wywoływać niepokoje na Dalekim Wschodzie i w Arabii. Niech nasza mentalność będzie mentalnością panów stworzenia.

Okazja jest lepsza niż kiedykolwiek przedtem. Jedynym moim niepokojem jest, by Chamberlain czy jakaś inna niska kreatura nie wystąpiła w ostatniej chwili z jakimiś pokojowymi propozycjami. Zrzucę tego jegośmościa ze schodów, choćbym mu miał dać kopniaka gdzieś na oczach wszystkich fotografów. Nie! Na to jest już za późno. Atak i zniszczenie Polski rozpocznie się wczesnym rankiem w sobotę. Urządzą się tak, by dwie kompanie w polskich mundurach dopuściły się agresji na Górny Śląsk albo w Protektoracie. Jest mi zupełnie obojętne, czy świat mi uwierzy, czy nie. Świat wierzy jedynie w powódzenie.

Na was — panowie — czeka sława i zaszczyty w rozmiarach, nieznanych od stuleci. Bądźcie twardzi! Bądźcie bez litości! Działajcie szybko i brutalnie od innych! Mieszkańcy Europy Zachodniej winni zdradzić ze zgrozy. Jest to najhumanitarniejszy sposób prowadzenia wojny, gdyż strasząc ich, powodujemy, że nie chcą się bić.

Nowej metodzie wojny odpowiada nowy wykres granic: nieprzerwany szaniec, ciągnący się od Rewla poprzez Lublin, Koszycę aż do ujścia Dunaju. Resztę ofiaruje się Rosjanom. Ribbentrop otrzymał instrukcje, żeby wszystkim obiecywać i na wszystko się godzić.

Na zachodzie zachowujcie sobie prawo wytępienia granic strategicznych. Można tam będzie stworzyć protektoraty, jak np. Holandii, Belgii i Lotaryngii francuskiej.

A teraz — hejże na wroga! Spotkamy się w Warszawie, aby uczcić zwycięstwo!

Informator opowiedział Lochnerowi, że gdy Hitler zakończył tę mowę, Goering —

szalejąc z entuzjazmu — wdrapał się na stół, aby oddać hołd Fuehrerowi i przysiąc mu, że jego krwiożercze plany zostaną zrealizowane.

Według tego pierwotnego planu atak na Polskę miał się zacząć dnia 25 sierpnia o świcie. Tymczasem jednak gen. Brauchitsch oświadczył Hitlerowi, że wprawdzie pewien jest, iż kampania przeciw Polsce będzie wygrana w ciągu paru tygodni, lecz będzie ona tylko początkiem nowej wojny europejskiej, jeśli nie światowej. Zwrócił mu on uwagę na następujące fakty: 1) król Włoch odmawia wejścia do wojny po stronie Niemiec; 2) Japonia protestuje przeciw inwazji Polski; 3) Francja mobilizuje; 4) W. Brytania podpisała pakt, gwarantujący integralność Polski; 5) flota brytyjska, skoncentrowana w Scapa Flow, gotowa jest blokadować Baltyk, a u wybrzeży szkockich — morze Północne.

Hitler był skonsternowany. Za wszelką cenę chciał mieć „swoją wojnę“. Jednak dla uspokojenia opinii sceptyków wysłał Hendersona do Londynu z nowymi propozycjami, nie ustając przy tym zresztą ani na chwilę w przygotowaniach do ataku.

Różniejsze wypadki potoczyły się błyskawicznie. Dn. 28 sierpnia definitywny termin ataku na Polskę wyznaczony został na dzień 1 września o świcie.

Dn. 30 Polska ogłosiła powszechną mobilizację. 31 na Wilhelmstrasse nikt się już nie śpieszył co do ewentualnej kompromisowości Anglii. Wiedziano, że ogłoszona ona mobilizacja. Nazajutrz o 6-ej rano Hitler wydał rozkaz do Wehrmachtu, nakazując „siłą odpowiedzieć na sę“. Tę ostatnią ośmiałą jakoby napaść na radiostację w Głiwicach odczuł zbrojny w polskich mundurach. Hitler dotrzymał obietnicy, danej swoim generałom...

em.

## KLASZTOR NA MONTE CASSINO

Dnia 15 lutego samoloty amerykańskie zbombardowały opactwo benedyktynów na Monte Cassino, w którym Niemcy ustawili dział artyleryjskie i z którego zrobili swą piastówkę obserwacyjną. Dzieła zniszczenia dokonał tego samego jeszcze dnia artyleria Sprzymierzonych. Z gmachów klasztornych pozostała tylko kupa gruzów.

W ten sposób zniszczony został jeden z najdosłowniejzych pomników cywilizacji chrześcijańskiej, zabytek, którego historia sięga początków VI wieku. Opactwo na Monte Cassino założone zostało przez św. Benedykta około r. 520. Był to najstarszy z zachodnio-europejskich klasztorów. Na nim wzorowały się w swym typie wszystkie klasztory europejskie, które tak ogromną rolę odegrały w średniowiecznym życiu gospodarczym i które przez długie wieki średniowiecza były głównymi ogniskami pracy kulturalnej.

Ideał życia zakonnego znany już pierwsze wieki chrześcijaństwa. Ale do momentu powstania opactwa na Monte Cassino ideał ten był prosto ideałem ascetyzmu i ucieczki od świata, a zakon — wspólnotą pustelników. Stworzone na Monte Cassino przez św. Benedykta ideał ten zrewolucjonizował. Jego twórca — żeby przytoczyć słowa znakomitego angielskiego historyka Christophera Dawsona — „był tym człowiekiem, który pierwszy wprowadził łańcuchy geniuszu i prawa do instytucji zakonnej i który dokonał dzieła uspołecznienia życia zakonnego“.

Opactwo na Monte Cassino odegrało doniosłą rolę historyczną nie tylko jako pierwotny wszystkich późniejszych klasztorów europejskich. We wczesnym średniowieczu był to jeden z najpotężniejszych i najbardziej szanowanych klasztorów. Opat jego miał sobie podległą administrację kilku diecezji. Szczególną opieką otaczał opactwo Karol Wielki, który też Monte Cassino odwiedził i który stamtąd sprowadził swego nadwornego historyka Reginusa Diaconusa. Do największego rozkwitu doszedł klasztor w w. XI, był wtedy jedną z głównych opór partii gregoriańskiej. W czasach nowożytnych znaczenie jego podupadło. Ale — turyście, zwiedzającemu klasztor, pokazywano celę, w której Ignacy Loyola układał regułę przyszłego zakonu jezuitów.

W r. 1866 młode zjednoczone królestwo włoskie zarządziło zniesienie klasztorów. Klasztor na Monte Cassino jednak ocalał. Ocalał głównie dzięki interwencji Anglików, których zmysł tradycji buntował się na myśl o zamknięciu instytucji, mającej za sobą tak dostojną i wielowiekową tradycję historyczną. Nigdy włoski zakon klasztor za narodowy zabytek. Sławne były jego dzieła sztuki, siłownia — biblioteka, zawierająca około 40.000 samych pergaminów. Bibliotekę tę — na szczęście — przed rozpoczęciem działań wojennych wywieziono do Watykanu.

W ciągu swej wielowiekowej historii klasztor był kilkakrotnie najeżdżany i plądrowany. Z końcem VI w. spłądrowali go Longobardowie, w IX w. napadli nań Saraceni, z początkiem XVI złupili go Hiszpanie, gdy wypędzali chroniących się tam Francuzów. Ze wszystkich tych oparów potężne mury obronnego zamczyska klasztorowego wychodziły jednak cało. Dopiero technika wojenna XX wieku uporała się z zadaniem, któremu nie dali rady ani barbarzyńscy Longobardowie, ani Saraceni.

ww.



# PRZEGŁĄD POLITYCZNY

Dnia 17 lutego komunikaty wojenne doniosły, że Polacy biorą udział w walkach na froncie włoskim. Wojsk polskich nie brakło w tej wojnie na żadnym z ważniejszych frontów sprzymierzonych: walczyli w Norwegii, we Francji, brały udział w Bitwie o Londyn, chlubnie zapisały się w dziejach kampanii afrykańskiej. Teraz na teatrze wojny nowym a mającym piękne tradycje w dziejach walk polskich o wolność, żołnierze polscy raz jeszcze dają świadectwo naszej woli niepodległości i zwycięstwa. W momencie dla nas szczególnie trudnym i przykrym krwią swoją pieczętuje niezłomną wierność polską dla wspólnej sprawy Sprzymierzonych. Mamy nadzieję, że krew ta nie zostanie przelana na darmo.

Odpowiedź polską, ogłoszona w londyńskim „Dzienniku Polskim”, zamyka jeden rozdział w tragicznych dziejach stosunków polsko-sowieckich. Jest to rozdział rokowań i przetargów politycznych, wywołanych przekroczeniem przez wojska sowieckie granicy polskiej dnia 3 stycznia b. r. Przyniósł on nam dwa wielkie rozczarowania. Stan Zjednoczone oświadczył swoją neutralność w konflikcie, Wielka Brytania zaś ustami premiera Churchilla określiła w sposób, nie nasuwający żadnych wątpliwości, swoje stanowisko, które scharakteryzować można pokrótce jako pełne poparcie żądań sowieckich. Mowa zawierała oświadczenia, iż żądania sowieckie nie wykraczają poza granice umiarkowania, iż linia Curzona jest granicą, odpowiadającą zasadom sprawiedliwości, przynosiła też potępienie „okupacji Wilna” przez Polaków. Oświadczenia Churchilla zostały następnie poparte jeszcze w dyskusji parlamentarnej przez dwóch szczególnie autorytatywnych członków gabinetu brytyjskiego: ministra spraw zagranicznych, Edena, i ministra wojny, Sir Edwarda Griggę, który oświadczył, iż Wielka Brytania gwarantowała niezależność Polski, ale nie granice Polski. Na innym miejscu drukujemy artykuł „Spectatora” z dnia 21 stycznia b. r., charakteryzujący w sposób bardzo — naszym zdaniem — trafny metody dyplomacji sowieckiej w sporze polsko-sowieckim. Zestawienie podanych tam faktów z przytoczonymi wyżej oświadczeniami umysłowi czytelnikowi w sposób szczególnie plastyczny, jak pełne zwycięstwo odniosła teza sowiecka w obozie Sprzymierzonych.

Na wszystkie te oświadczenia Rząd Polski odpowiedział, co następuje. Cytując według Reutersa: „Dziennik Polski” z dn. 25 bm., nawiązując do przemówienia premiera Churchilla w sprawie polsko-rosyjskiej, wygłoszonego przed kilku dniami w parlamencie, pisze, że Rząd Polski w dalszym ciągu odmawia uznania linii Curzona, jako przyszłej granicy polsko-sowieckiej.

Dziennik przytacza uchwały, dotyczące granic, przyjęte przez Sprzymierzonych w r. 1919 i przez niektóre mocarstwa w 1923 r., po czym pisze:

„Na podstawie tych historycznych faktów i dokumentów Sprzymierzonych Rząd Polski stanowczo odmawia uznania t. zw. linii Curzona, jako przyszłej granicy polsko-sowieckiej.

To stanowisko Rządu Polskiego jest nieuległe. Jeżeli Polska będzie pozbawiona prawie połowy swego terytorium i około 11 milionów swojej ludności na rzecz członka Zjednoczonych Narodów, Naród Polski nie będzie mógł uznać tego za sprawiedliwe lub racjonalne rozwiązanie sprawy polsko-rosyjskiej na prawdziwie pokojowej i trwałej podstawie przyjaźni.”

„Nie bacząc na rozczarowania i rozwiane złudzenia. Naród Polski w dalszym ciągu prowadzi będzie nieugiętą walkę dla dobra Zjednoczonych Narodów, jako całości. Nie ma nadziei na wyzwolenie nawet najmniejszego skrawka ziemi polskiej póki Rzesza Niemiecka nie jest rozbita. Jednakowoż Naród Polski będzie walczył z głęboką wiarą, że dalszy przebieg wojny wyprostuje pewne polityczne punkty sporne i w ostatecznym wyniku przyniesie ze sobą panowanie prawdziwych zasad sprawiedliwości, w jednakowej mierze dla słabych i dla silnych w obozie Zjednoczonych Narodów.”

Zdajemy sobie dobrze sprawę z praktycznych konsekwencji, jakie odpowiedź taka za sobą pociąga. Mimo to z pełnym poczuciem odpowiedzialności powiedzieć możemy, że odpowiedź taka ma za sobą moralne przywołanie nas wszystkich, całej naszej emigracji. Wiemy też, jakie jest stanowisko Kraju, i wiemy, że odpowiedź Rządu jest wyrazem także i opinii wszystkich polskich kół politycznych Kraju.

Łatwo nam zarzucić, że stanowisko nasze nie jest realistyczne. Możemy na to odpowiedzieć, że wcale nie mamy pewności, czy stanowisko odwrotne okazałoby się w ostatecznym rachunku właśnie realistycznym. Wiemy zato napewno, że takie stanowisko, jakie Rząd Polski zajął, odpowiada naszemu najgłębszemu poczuciu słuszności i sprawiedliwości.

Mowa premiera Churchilla była i poza ustępami, poświęconymi sprawom polskim, bardzo ciekawym dokumentem. W jej części, poświęconej przeglądowi sytuacji wojennej, premier brytyjski trzymał się starej taktyki, która mu zjednała tyle popularności i uznania w świecie. Wystrzegając się łatwego optymizmu, raczej straszył: mówił o nowej, tajnej broni, którą Niemcy mają w przygotowaniu przeciwko Wielkiej Brytanii, wcale nie obcywał szybkiego końca wojny, nie zaciągał żadnych zobowiązań, jeśli idzie o bliski termin desantu Sprzymierzonych na kontynent europejski. Mimo to i poprzez to wszystko, jak zwykle, mowa ta tętniła nutą mocnego optymizmu. Zresztą brak obietnicy szybkiego stworzenia drugiego frontu można traktować także jako — groźbę pod adresem Niemiec.

Brzmio to paradoksalnie, a jednak jest szczerą prawdą. Wszystkie bowiem nadzieje niemieckie zawarcia kompromisowego pokoju wiszą teraz na jednej nici: na ewentualności pobicia desantu wojsk Sprzymierzonych, po którym mógłby powstać w świecie klimat, odpowiedni dla negocjowanego pokoju. Zdaje się, że Niemcy, od półtora roku systematycznie i bez przerwy bici w Rosji, stracili już wszelką nadzieję jakiegokolwiek zwycięskiego rozwiązania na froncie rosyjskim. Jest zresztą rzeczą bardzo wątpliwą, czy mają jeszcze na tyle wojsk, żeby mogli sobie na tym, wyjątkowo rozległym, froncie pozwolić na ofensywę na wielką skalę. Jedyną ich nadzieją, to nadzieją, zadania państwom anglosaskim takich ciosów, aby straciły one ochotę na prowadzenie wojny aż do zwycięskiego końca. Tu tkwi tajemnica z wielką zaciętością przeprowadzanej ofensywy przeciwko przyczółkowi Sprzymierzonych pod Anzio, tu tkwi też tajemnica wznowionych ataków po-

wietrznych na Londyn, które — rzecz prosta — nie są tak gigantyczne, jakby to chciała propaganda niemiecka wmówić Niemcom, jednak są przeprowadzane na poważną skalę i na dalszą metę mogą się okazać dokuczliwe. Tu wreszcie tkwi tajemnica ostatniego artykułu Goebbelsa w „Das Reich”. W artykule tym Goebbels pocieszał swoich czytelników, że względy polityczne muszą popchnąć Sprzymierzonych do spróbowania w krótkim czasie desantu na kontynent europejski: Wielkiej Brytanii desant taki ma być potrzebny dla utrzymania jej pozycji dyplomatycznej, a dla Roosevelta ponadto będzie konieczny dla utrzymania się na stanowisku Prezydenta Stanów Zjednoczonych na jeszcze dalsze cztery miesiące.

Stąd brak jakiegokolwiek zapowiedzi desantu w mowie Churchilla musiała propaganda niemiecka odczuć jako zawód. Zamiast tego Churchill wyupulnił rolę, jaką ofensywa lotnicza Sprzymierzonych na Niemcy odgrywa w obecnej wojnie.

Ofensywa ta w ostatnich tygodniach rozwinęła się w sposób, który nawet ludzmi zblazowanym rozmaitymi rekordami tej wojny musi za imponować. Kiedy jesienią ub. r. przyszły seria wielkich nalotów nocnych i kiedy w listopadzie rozpoczęła się gigantyczna bitwa o Berlin, zdawało się, że ofensywa ta osiągnęła już górną granicę swego nateżenia. Tymczasem ostatnie naloty pokazały, że i taką ofensywę można zwielokrotnić.

Ofensywa ta ma dwa cele na oku: precyzyjne naloty dzienne skierowane są przede wszystkim przeciwko fabrykom sprzętu wojennego, w pierwszym rzędzie przeciwko fabrykom sprzętu samolotowego. Poza tym naloty te wiążą ogromne ilości niemieckiego lotnictwa myśliwskiego. Wiąza oraz stopniowo lotnictwo to kruszą. Straty Sprzymierzonych w tych nalotach są również poważne, ale należy pamiętać, że podczas gdy produkcja w samej tylko Wielkiej Brytanii dorównywała produkcji niemieckiej, produkcja amerykańska trzykrotnie ją już przewyższa. Stąd też jeśli Sprzymierzonych stać będzie na utrzymanie ofensywy lotniczej przeciwko Niemcom w takim tempie przez dłuższy przeciąg czasu, zmuszą Niemcy do użycia ich strategicznej rezerwy samolotowej i do zużycia jej. Zniszczenie zaś niemieckiego lotnictwa myśliwskiego ogromnie zmniejszy szanse desantu Sprzymierzonych na kontynencie europejskim.

Dlatego, gdyby brać tylko względy natury strategicznej pod rachubę, trzeba by założyć, że Sprzymierzeni będą jeszcze przez dłuższy czas zwlekali ze stworzeniem drugiego frontu. Ale w grę wchodzi jeszcze względy natury politycznej. Rosjanie na dwóch odcinkach przekroczyli już swoją granicę sprzed września 1939 r., na innych — szybko się do niej zbliżają. Sytuacja na froncie opanolali do tego stopnia, że potrafią wyreżysować daty zdobycia wielkich miast ukraińskich, tak iż spadają im one właśnie na uświetnienie świąt państwowych. Akurat na rocznicę rewolucji padł Kijów, na święto Czerwonej Armii — Krzywy Róg. W takiej sytuacji Rosjanie mogą szybko podość do granic swoich dążeń terytorialnych. Co potem?

W rozkazie, wydanym z okazji święta Czerwonej Armii, Stalin w sposób wcale zręczny starał się zatuszować fatalne wrażenie „kairskiej” kaczki na temat rzekomych rokowań pokojowych brytyjsko-niemieckich. Oświadczył, że agenci niemieccy próbują gruntu do wszczęcia odrębnych rokowań pokojowych bądź z Wielką Brytanią, bądź z nimi. Tym samym stwierdził, że były czynione próby nawiązania rokowań pokojowych so-

wiecko-niemieckich. Im bardziej armie sowieckie będą się posuwały na zachód, tym uporczywiej będą Niemcy próby te ponawiali. Dlatego względnie polityczne nakazują Sprzymierzonym na ustalenie daty desantu na kontynent europejski raczej wcześniej.

Z momentów, poruszonych w części politycznej mowy premiera Churchilla, warto jeszcze podnieść dwa. Oto to, co mówił o Francji, wraz z zawartym niedawno układem walutowym francusko-brytyjskim, świadczy o daleko idącym wyrównaniu przeciwności między Wielką Brytanią a algierskim Komitetem Narodowym.

Drugi moment ma charakter negatywny. Ani słówka nie było w mowie o Finlandii, toczącej obecnie rokowania pokojowe z ZSRR. Milczenie to wraz z dwukrotnie powtórzonym ostrzeżeniem, jakie wyszło ze strony amerykańskiej, ma swoją wymowę. Państwa anglosaskie poczuwały się do niedawna do swego rodzaju protektoratu nad Finlandią, którego nie przerwało nawet przystąpienie Finlandii do wojny po stronie Niemiec. Ich stanowisko obecne oznacza jedno: że w rokowaniach pokojowych fińsko-rosyjskich nie zamierzają interweniować, że Finlandia znajduje się w rokowaniach tych sam na sam z ZSRR. Jest to także tryumf dyplomatyczny ZSRR.

Rewolta, na jaką natrafił prezydent Roosevelt w łonie własnej partii w Kongresie, i która znalazła swój wyraz w rezygnacji senatora Barley’a i w demonstracji, jaką z tej racji urządzili senatorowie demokratyczni, w sposób szczególnie jaskrawo uwydatniła istniejące napięcia polityczne w życiu Stanów Zjednoczonych.

Bezpośredni powód tej walki między Prezydentem a Kongresem jest niewątpliwie ważny: idzie o podatki wojenne, a więc nie o mniej i nie o więcej tylko o to, jak mają być rozłożone w kraju ciężary prowadzenia wojny. Ale sprawa rozłożenia kosztów wojny jest tu tylko fragmentem pewnej rozleglejszej walki.

W Wielkiej Brytanii nie tylko że przejście z gospodarki przedwojennej na tory kierowanej, planowej gospodarki wojennej dokonało się gładko, ale panuje tam także powszechne przekonanie, że przejście to jest nie tylko czasowe, na okres trwania wojny. Przeciwnie, uważa się tam, że jest to zmiana stała, że większość instytucji gospodarki planowej będzie musiała pozostać i po wojnie. Że, krótko mówiąc, kraj przeszedł przez rewolucję gospodarczą.

W Stanach Zjednoczonych jest inaczej. Tam sfery ciężkiego przemysłu i wielkiego kapitału, których wyrazicielem poglądów jest większość członków Kongresu, wcale nie mają zamiaru rezygnować z zasad liberalizmu gospodarczego, z laissez-fairyzmu. Jak najszerszy margines tego laissez-fairyzmu starają się one zachować teraz, w warunkach gospodarki wojennej.

Wyrazicielem tendencji odwrotnych jest prez. Roosevelt, który jest przeciw twórcą New Dealu. Coprawda z wielu hasel New Dealu Roosevelt zdążył już zrezygnować, inne wypadło w warunkach wojennych zmodyfikować, tym niemniej jest on predestynowany do zajęcia takiego stanowiska już choćby jako człowiek, w którego ręku skupiają się nicoi gospodarki wojennej. Walki o podwyżki płac robotniczych, o ustalenie maksymalnych cen na artykuły żywności, o zasiłki dla rolnictwa, wreszcie o podatek wojenny — wszystko to są fragmenty jednej i tej samej wielkiej kampanii. Gra toczy się o wielką stawkę.

## ZŁY HUMOR MOSKWY

Pod takim tytułem — „The Temper of Moscow” — „The Spectator” z dn. 21 stycznia przynosi artykuł na temat stosunków polsko-sowieckich:

„Najbardziej godnym pożałowania aspektem ostatniego oświadczenia rosyjskiego, dotyczącego Polski, jest wpływ, jaki może ono wyrzucić nie na rosyjsko-polskie, ale na rosyjsko-brytyjskie i rosyjsko-amerykańskie stosunki.

Rząd polski, trzeba przypomnieć, orientując się w sytuacji, stworzonej przez posuwanie się zwycięskiej armii sowieckiej poprzez tę linię, która do niemieckiej napaści z r. 1939 była bezsporną granicą Polski, wydał bardzo rozsądne oświadczenie, wskazujące na bieg rzeczy, jaki, jak wierzył i miał nadzieję, będzie miał miejsce na terytoriach, które mają być wyzwolone spod okupacji niemieckiej. Rząd sowiecki oświadczył w odpowiedzi, zredagowanej w języku oczywiście nieprzyjaznym, choć nie był on w sposób oczywisty wrogi, że nie może być żadnej mowy o przywróceniu granicy, ustalonej Traktatem Ryskim z r. 1921 — chociaż granica ta istniała niekwestionowana w ciągu osiemnastu lat i była w ciągu tego okresu wielokrotnie uznawana przez sam rząd sowiecki, — ale że Rosja nie zamierza zatrzymać całego terytorium, jakie okupowała, kiedy najechała Polskę w r. 1939, i że jest gotowa do uznania granicy, zbliżającej się, zgrubsz biorąc, do t. zw. Linii Curzona, prowizorycznie przyjętej przez rząd sprzymierzonych dla specjalnych celów w r. 1919. Były w tym oświadczeniu ustępy, zwłaszcza jeden, obliczony na podminowanie pozycji Rządu Polskiego w Londynie; ustępy takie mogły tylko prowokować rząd ten do polemicznej odpowiedzi. Jest to w znacznej mierze zasługa p. Mikolajczyka i jego kolegów oraz wpływu, wywartego na nich przez p. Edena, że w sposób zdecydowany oparli się pokusie i zreagowali odpowiedź, nienaganną w swej rezerwie, wyrażającą najgorętsze życzenie załatwienia wszystkich kwestii spornych między Polską a Rosją w celu ustalenia „przyjaznej i stałej współpracy” między dwoma państwami, i sugerującą, iż Wielka Brytania oraz USA, jako sojusznicy obu państw, mogłyby być zaproszone do przedyskutowania wspólnie wszystkich istniejących spraw spornych. Wydawało się, iż stwarza to dobre możliwości, i w atmosferze ogólnego zaufania oczekiwana była z Moskwy odpowiedź, w podobnym duchu zredagowana.

Jaki jest w gruncie rzeczy charakter tej odpowiedzi? Można ją scharakteryzować po prostu jako krótką i brutalną... Nota zamyka jej całkiem nieuzasadnionym stwierdzeniem, że „obecny Rząd Polski nie chce ustalenia dobrych sąsiedzkich stosunków ze Związkiem Sowieckim”. Co deklaracja taka znaczy, jeśli idzie o Związek Sowiecki i Polskę, jest rzeczą jasną. W każdym bądź razie jest rzeczą jasną dla berlińskich propagandystów, których radość pomieszana z kpinkami

jest wymownym komentarzem do tej wyrwy w jednoci Narodów Sprzymierzonych. Ale inne jeszcze momenty zasługują także na uwagę. Można dowodzić, że nieporozumienia polsko-rosyjskie niewiele znaczą tak długo, jak długo zachowana zostaje zasadnicza jednoci między trzema mocarstwami, Wielką Brytanią, Stanami Zjednoczonymi i Rosją. Ale każdy wie, a napewno wie to i Moskwa, ponieważ gazety brytyjskie nie robiły z tego tajemnicy, że Polacy przed wysłaniem swej ostatniej odpowiedzi do Rosji stale radzili się p. Edena. Stąd niedoparty wniosek, że w znacznej mierze wyrobień politycznemu p. Edena należy zawdzięczać, iż dokument ten został zredagowany w formie tak pojednawczej i umiarkowanej. Fakt, iż p. Eden osobliście doręczył odpowiedź polską p. Gusiewowi, ambasadorowi sowieckiemu w Londynie, mówi sam za siebie. W tych warunkach — bez względu na to, czy leżało to w zamiarach p. Molotowa czy też nie — nota rosyjska z bieżącego tygodnia jest otwartym odrzuceniem („as open a rebuff”) p. Edena również dobrze jak p. Mikolajczyka. A jako szczyt tego wszystkiego przychodzi niewytlumaczalna bétise kaczki „Prawdy” na temat anglo-niemieckich rokowań pokojowych. Można się doprawdy spytać z równym zakłopotaniem jak i troską, jaki to komar ukul p. Molotowa i wpuścił do jego żył bakcylią przewrotności.

O tym wszystkim dużo więcej jeszcze można by powiedzieć. Ale wiele z tego lepiej pozostawić milczeniu byłoby nieusprawiedliwione. Jasno wynika z obu moskiewskich oświadczeń — a jeśli były jakies, najmniej nawet, wątpliwości, korespondenci brytyjscy w Moskwie postarali się o to, aby je rozprzecznić — że celem p. Molotowa jest obalenie Rządu Polskiego w Londynie i zastąpienie go przez inny, utworzony — być może — przez członków „Związku Patriotów Polskich” w Moskwie, którzy bardziej zgadzają się z jego poglądami. Jak można to pogodzić z wielokrotnie powtarzanym przez marsz. Stalina życzeniem istnienia wolnej i niepodległej Polski — pozostanie do wyjaśnienia. Manewr taki musi wywołać m. in. także i pewne obawy p. Benesa...

„Jakżeż nędzny jest cały ten sposób załatwiania sprawy („But how miserable a business all this is!”). Tak nędzny, że dopóki nie będziemy do tego zmuszeni, odmowny wyścignięcia z niego najgorszych konsekwencji. Lepiej jest uznać to za niezręczność tylko ze strony Moskwy, gdzie dyplomacja wielkich gestów jest zbyt popularna, niż za prostą złośliwość. Ostatecznie, mamy wojnę, która trzeba wygrać, i świat, który trzeba ocalić. Marsz. Stalin zdawał sobie z tego sprawę w sposób równie jasny i naturalny, jak każdy inny w Teheranie. Przyjaźń Churchilla i Roosevelta napewno więcej dla niego znaczy od niesławnej satysfakcji stratomatowania umęczonego sąsiada.”

NOWOŚĆ

ZDZISŁAW BRONCEL

ŁASKA NOCY

POEZJE

Stron 79.

Obwoluta Z. Kowalewskiego

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

WYBOR POEZJI

1925—1944

Stron 134.

MARIAN GORECKI

STRATEGIA ZWYCIĘSTWA

SKICE POLITYCZNE

Cena każdego tomu: 200 milsów.

Nakładem Wydawnictwa „W DRODZE”

Jerozolima.

SZKOLNA BIBLIOTEKKA NA Wschodzie

pod redakcją Dra Ł. Kurdybachy

Dotychczas ukazały się:

Tom

1. ALEKSANDER FREDRO : Zemsta, oprac. Eugeniusz Kucharski. Str. 142

2. JAN KOCHANOWSKI : Treny, oprac. Wiktor Weintraub. Str. 41

3. JULIAN NIEMCEWICZ : Powrót posła, oprac. Stanisław Kot. Str. 112

4. JAN KOCHANOWSKI : Odpawa posłów greckich, oprac. Wiktor Weintraub. Str. 43

5. ZOFIA KOSSAK : Nieznany kraj, (w wyborze). Str. 221

6. STEFAN ŻEROMSKI : Wierna rzeka, Str. 130

7. HENRYK SIENKIEWICZ : W pustyni i w puszczy, Str. 326

8. ELIZA ORZESZKOWA : Nad Niemnem, Str. 479

9. MARIA RODZIEWICZOWNA : Lato leśnych ludzi, Str. 177

10. ADAM MICKIEWICZ : Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego, oprac. Stanisław Pigoń. Str. 82

11. MARIA KONOPNICKA : O krasnoludkach i sierotce Marysi, Str. 195

12. MELCHIOR WANKOWICZ : Bracia dalecy a bliscy, (wybór z książki „Na tropach Smętka”) Str. 123

13. ADAM MICKIEWICZ : Pan Tadeusz, oprac. Manfred Kridl. Str. XVI i 324

14. ALEKSANDER FREDRO : Śluby panieńskie, oprac. Eugeniusz Kucharski Str. 115

15. STANISŁAW WYSPIANSKI : Wesele, Str. 182

16. WŁADYSŁAW ORKAN : W rozłokach, wstęp St. Pigoń. Str. 302

W przygotowaniu:

JULIUSZ SŁOWACKI : Balladyna, oprac. Juliusz Kleiner.

JULIUSZ SŁOWACKI : Lilla Weneda, oprac. Juliusz Kleiner.

ADAM MICKIEWICZ : Dziady, oprac. Józef Kallenbach.

JOZEF IGNACY KRASZEWSKI : Stara baśń.

BOLESŁAW PRUS : Faraon.

STEFAN ŻEROMSKI : Popioły.

ANTONI MALCZEWSKI : Maria, oprac. Józef Ujejski.

ALOJZY FELIŃSKI : Barbara Radziwiłłówna, oprac. Marian Szykowski.

STANISŁAW WYSPIANSKI : Warszawianka.

ADAM MICKIEWICZ : Ballady i romanse — Grażyna

JULIUSZ SŁOWACKI : Utwory pomniejszych, oprac. ks. Kamil Kantak.

ZYGMUNT KRASIŃSKI : Nieboska komedia, oprac. Juliusz Kleiner.

HENRYK SIENKIEWICZ : Nowele, (wybór).

WŁADYSŁAW REYMONT : Fermenty.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI : Przegląd Dobrej Nadziei.

DANIEL DEFORE : Robinson Kruzoe.

MARIA KONOPNICKA : Książeczka dla Tadzia i Zosi